Nr. 37. Poznań, Niedziela 15. września 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 4 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 5 Mr., w innych krajach europejskich i w Ameryce 5,50 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Czas odnowić przedpłatę!

OD REDAKCYI.

Zakładając pismo nasze pragnęliśmy ceną znacznie niższą od podobnych wydawnictw warszawskich uprzystępnić je jak najszerszym warstwom społeczeństwa, a lubo tajnem nam nie było, że unormowanie prenumeraty na trzy marki kwartalnie wymagać będzie zrazu znacznych ofiar materyalnych, to przyświecała nam otucha, że koło czytelników w krótkim czasie tak się rozszerzy, że liczba przedpłacicieli pozwoli nam i nadal zachować pierwotne warunki prenumeraty. Nadzieja ta jednak okazała się zwodniczą. Z kwartału na kwartał wzmaga się wprawdzie liczba abonentów „Przeglądu“, z kwartału na kwartał rosną kolumny zwolenników naszego kierunku i naszego pisma, ale w trudnych warunkach egzystencyi, wobec nielicznej a uprzedzonej i duchem reakcyi od lat dwudziestu karmionej inteligencyi, wobec nienawiści, którą zgrzybiali królowie opinii witają każde drgnienie myśli postępowej i każdy samodzielny objaw życia bez ich sankcyi i protekcyi zrodzony, — wobec przestraszającego obniżenia poziomu umysłowego w społeczeństwie naszem, rozwój ten odbywał się powoli, żądając od założycieli „Przeglądu“ ofiar bezustannych. Zdobywamy jednę piędź ziemi po drugiej, ale walka to mozolna i długa. Musimy wychować sobie czytelników, bo ostatnie lat dwadzieścia wyjałowiły i spaczyły inteligencyę zaboru pruskiego.

Stałość rozwoju naszego jest wprawdzie pomyślnym horoskopem przyszłości, ale powolność jego nasuwa obawy, że w połowie zwycięstwa siły nas opuścić mogą i dla tego postanowiliśmy z konieczności zmienić warunki prenumeraty, podwyższyć cenę abonamentu.

Od 1 października zatem przedpłata kwartalna wynosi:

Na wszystkich pocztach cesarstwa niemieckiego i Austryi

5,00 mr.

W mieście Poznaniu, w ekspedycyi naszej wraz z odnoszeniem do domu

4,00 mr.

We wszystkich innych krajach z przesyłką opaskową

5,50 mr.

„Przegląd Pozn.“ zapisany jest w księgach pocztowych Niemiec i Austryi pod lit. II. t. 86 a.

* * *

Podwyższając cenę „Przeglądu“ zwracamy się do czytelników naszych z usilną prośbą, aby i nadal nie odmówili poparcia swojego temu wydawnictwu, które według jednomyślnego uznania najwybitniejszych przedstawicieli literatury i nauki i według sądu najpoważniejszych organów polskich i cudzych jest źródłem życia nowego w dusznej atmosferze pruskiego zaboru. My z naszej strony stać będziemy niezłomnie na straży zdrowego postępu, a wszystko co szlachetne, wszystko co służy humanitarnym dążeniom ludzkości, wszystko co krzepi i wzmacnia demokratyczny rozwój narodu, wszystko co piękne, jasne i uczciwe znajdzie w nas zawsze nieustraszonych i nieugiętych szermierzy. W zamian prosimy Czytelników i przyjaciół naszych o przyjaźń czynną i ruchliwą. — nie o tę, która platonicznie kocha, lecz tę, która działa, która krzewi idee „Przeglądu“ w społeczeństwie, która walczy i wzmacnia fundamenty nasze. Niech każdy czytelnik stara się zdobyć dla nas chociaż jednego abonenta, niech żąda od nas egzemplarzy okazowych i rozrzuca je w gronie znajomych, niech prostuje tendencyjne fałsze rozsiewane przez wrogów naszych, a wkrótce — „imię nasze będzie legion“.

Prasa a publiczność.

II.

Powiedziało przed niedawnym czasem jedno z czasopism berlińskich, że nasze wielkie dzienniki polityczne nie wznoszą się nad poziom miernych prowincyonalnych pisemek niemieckich. Krytyka ta wywołała oczywiście burzę niezadowolenia w bożyszczach przywłaszczających sobie „przywilej nietykalności“ i reklamujących od czasu do czasu z dumą tytuł „organów europejskich“; jeżeli atoli weźmiemy rozbrat z zasadą, że kardynalnym postulatem patryotyzmu jest maskowanie ujemnych stron życia narodowego, — jeżeli poddamy objektywnej analizie preparaty duchowe wyrabiane w naszych warsztatach dziennikarskich, to owa niemiecka krytyka nie stanie przed nami jako wklęsłe lub wypukłe lustro, lecz jako proste zwierciadło odbijające wiernie obraz dziennikarstwa. I wtedy jednak zjawi się może słowo rozgrzeszenia, bo wielu analityków życia naszego ma w pogotowiu rozpaczliwy okrzyk, że wina nie tyle leży w kierownikach prasy, ile w kruchych materyalnych podstawach dzienników polskich, — w tej chronicznej chorobie, która toczy całe nasze życie publiczne. Twierdzeniu temu nie można odmówić pewnej słuszności, ale należy je sprowadzić do właściwej miary i postawić pytanie, czy w ramach stosunków naszych istotnie nic lepszego stworzyć niepodobna, oraz czy podniesienie dziennikarstwa nie spotęgowałoby równocześnie źródła jego dochodów. Przy takiem ujęciu sprawy nasuwa się natychmiast kwestya gwałtownego rozszerzania czasopism niemieckich wśród publiczności polskiej i wynikający ztąd fakt niezbity, że w społeczeństwie poznańskiem istnieje nietylko zapotrzebowanie pożywniejszej i obfitszej strawy dziennikarskiej, lecz i kapitał odpowiadający potrzebom jego. Dziś nieomal w każdym domu obywatelskim znajdują się dzienniki berlińskie, nieomal każdy zamożniejszy kupiec i przemysłowiec abonuje czasopisma niemieckie, a skargom na popieranie „cudzego towaru“ odpowiada charakterystyczne twierdzenie: „W prasie polskiej pustki. To, co podaje czytelnikom swoim, nosi piętno żółwiego ruchu, a tysiącznych rzeczy niezbędnych dzisiaj dla każdego inteligentnego człowieka, wiadomości koniecznych dla rólników i kupców, szukasz napróżno w polskiem dziennikarstwie“.

Kłam zadać trudno zarzutowi temu, bo już powierzchowne porównanie takiej np. „Posener Zeitung“ lub grudziądzkiego „Geselligera“ z „Dziennikiem Poznańskim“ wykazuje zwycięztwo Niemców nad anemicznym, polskim organem. Tam sprężystość, ruch i obfitość, tam poczucie aktualności, tam bezustanne znaki życia z wszystkich zakątków prowincyi, tam błyskawiczna kontrola pulsu europejskiego, — a tu niestety obszar jałowy, gdzie pustkę maskują dosłowne przekłady lub kompilacye z poglądowych artykułów prasy berlińskiej. Zupełny brak reporteryi polskiej skazuje dziennikarstwo nasze na wyłączną nieomal pomoc niemieckich referatów i korespondencyi, a zapożyczanie przybiera takie rozmiary, że częstokroć „Posener Zeitung“ zamieszcza rychlejsze i dokładniejsze informacye o drgnieniach życia polskiego, niż nasze własne

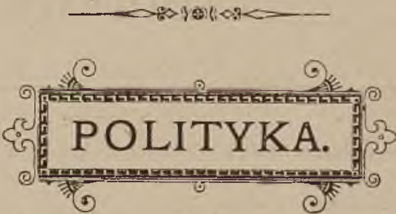
„europejskie“ organy. Pustka w sprawach handlu i przemysłu, pustka w sprawach literatury, łańcuch u nogi w sprawach polityki. Ztąd to rodzi się w społeczeństwie jako naturalna konsekwencya pewne lekceważenie prasy narodowej, ztąd skarga poety: „Cudze chwalicie, swego nie znacie“ w naszych warunkach kłamstwem jest i długo jeszcze zapewne niem pozostanie.

Bogactwo i barwność materyału dziennikarskiego wymaga bez wątpienia kapitału nakładowego, ale znając dokładnie stosunki prasy poznańskiej, upatrujemy kapitał ten poniekąd w umiejętniejszem kierownictwie i obrocie funduszy i dochodów istniejących. Dziennikarz ruchliwy, odczuwający potrzeby społeczeństwa i posiadający instynkt chwili, — dziennikarz posiadający ową świadomość obowiązków, która nie pozwala sił rozpraszać na tysiączne uboczne ambicyjki, roboty i robótki, lecz rozkazujeześrodkować główne dążenia około rozwoju pisma swojego, dźwignie niewątpliwie nasze wielkie organy na wyższy szczebel doskonałości bez pomocy nowych kapitałów. W miarę zaś szczęśliwej konkurencyi z niemieckiemi pismami i rozwoju oświaty w społeczeństwie polskiem, wzmagać się musi różnostronny przypływ zarobkowy, a tem samem finansowy materyał dalszego doskonalenia. Dziś brak fachowego kierownictwa jest kardynalną przyczyną starczej bezkrwistości naszego „wielkiego“ dziennikarstwa, kompromitującego się nietylko ubóstwem i jednostajnością pokarmu rzucanego czytelnikom swoim, lecz pensyonarską niedojrzałością w sprawach społecznych i zatratą zmysłu artystycznego w sprawach literackich. Małe feljetony i recenzye teatralne „Kuryera Poznańskiego“ z najświeższych czasów oraz osławione „Aniołku czekamy“ i poezye pomieszczane w łamach poważnego „Dziennika“ są istotnie prawdziwem urągowiskiem w dziejach publicystyki polskiej. Dziwić się nie można drobnym dzienniczkom poznańskim o zakroju ludowym, jeżeli łamy swoje stroją próbkami literackiemi częstochowskich rymorobów i romansopisów, bo tu charakter organu i. poziom umysłowy czytelników jest poniekąd rozgrzeszeniem artystycznego Beotyzmu, ale gdy wielkie dzienniki, służące inteligencyi, zamieszczają cudactwa literackie, wtedy rozbudzona i dojrzała publiczność za rzuconą tandetę płaci lekceważeniem, a niedojrzała i śpiąca drzemie dalej w obskurantyźmie umysłowem, pielęgnowanem tak usilnie przez naszych redaktorów-estetyków i uczonych.

Brak siły intelektualnej jednak i krytycyzmu nie jest wyłączną przyczyną obniżenia poziomu dziennikarstwa poznańskiego, bo obok dyletantyzmu, który sądzić nie umie, grasuje u nas stronniczość lub rachuba, która sądzić nie chce. Ludzi i prace dzieli każdy dziennik na trzy kategorye: zdecydowanych stronników, bezbarwnych i przeciwników. Pierwsza — bez względu na to, czy wystąpi w charakterze prelegenta, mówcy wiecowego, aktora, muzyka, malarza, poety itp. — otrzymuje stałe patent geniuszu, mistrza lub przynajmniej głębokiego i wiele zapowiadającego talentu, — drugą częstuje się groszowemi całuskami, aby „ludzi nie zrazić“, trzecią maltretuje się zjadliwie lub stara zabić milczeniem. Tak fabrykuje się z najpłytszych i najbanalniejszych indywiduów olbrzymów pióra, słowa lub pędzla, tak często ludzi niepospolitych lub przynajmniej wybitniejszych zdolności spycha się w proch i dławi brutalnie.

Rozpatrzmy się w ocenach popisów krasomówczych zeszłorocznego wiecu katolickiego — zdawało się istotnie, że nasza prasa „poważna“ zamieniła się w rozległą cukrownią. Każdy nonsens wołający o pomstę do nieba, każdy frazes wykradziony z obcych i swojskich autorów, każdy zwitek najelementarniejszych, utartych ogólników otrzymywał patent mistrzostwa, i powstał nagle hufiec geniuszów na poznańskiej ziemi. A przecież cała ta manifestacya lojalno-klerykalna nosiła piętno rozpaczliwego dyletantyzmu i wobec podobnych demonstracyi niemieckich lub — last not least — galicyjskich raziła swoją czczością bezdenną. Podobnie dzieje się we wszystkich dziedzinach bytu społecznego i umysłowego, — nikt się nie pyta o dzieło, o czyn, lecz każdy szuka autora. Pokrewne stosunki istnieją wprawdzie i w innych centrach życia narodowego, skarżą się na nie śmielsi pisarze Warszawy, Lwowa i Krakowa, — ale nigdzie nie wybujała stronniczość z taką potęgą iście podzwrotnikowej wegetacyi jak u nas. Gdy przed niedawnym czasem jeden z najradykalniejszych poetów galicyjskich ogłosił nowy tomik poezyi swoich, oplotła mu głowę wieńcem wawrzynowym urzędowa, klerykalno-konserwatywna „Gazeta Lwowska“, gdy Adam Nowicki rzucił swoje światoburcze pieśni na półki księgarskie, sypał mu róże pod nogi „Czas“ ultrazachowawczy, — u nas do takiej tolerancyi artystycznej prasa nie wzniesie się nigdy. Zupełna bezduszność i umysłowa bezsiła krytyki z jednej strony, a tendencyjne maltretowanie lub niańczenie z drugiej strony, oto sygnatura dziennikarstwa naszego. Dzień każdy mnoży przykłady, a w świeżej jeszcze pamięci przechowujemy fakt, że „Dziennik Poznański“ nie mogąc zdusić rozumnej myśli ekonomicznej, rzuconej przez jednego z Kuryerowych szermierzy, odmówił znienawidzonemu autorowi prawa budowania rozsądnych projektów.

Tak w szkicu pobieżnym rysuje się przed okiem myślącej publiczności sylwetka „siódmej potęgi świata“ na poznańskim gruncie, a że koło tej skrzywionej moralnie i umysłowo postaci słychać coraz częstsze śmiechy szydercze, że wpływ prasowych przywódzców narodu maleje, że potęguje się lekceważenie dla tych wątpliwych „drogoskazów, nauczycieli i mistrzów“ społeczeństwa, któż temu dziwić się odważy? Nowych ludzi i nowych sił nam trzeba, bo królestwo dziennikarskich Grabców i Falstaffów grozi wyjałowieniem i zatruciem życia narodowego, a w rzeszy uczciwych i trzeźwych słychać z dnia na dzień głośniejsze szemranie.



Przegląd prasy polskiej
zaboru pruskiego

Jeden z korespondentów „Gazety Grudziądzkiej“ z Wlewska pod Lidzbarkiem podaje projekt następujący (nr. 106):

„Nie wolno nam zapominać o tych współbraciach, którzy albo są obojętni i niechętni do czytania, albo tak biedni, że nie mają na to, aby zapisać sobie czasopismo polskie.

Pierwszych należy w sposób życzliwy do zaabonowania gazety namówić, a biednej braci wprost do tego dopomódz. Wszak wobec wzmagającego się coraz bardziej ucisku ze strony naszych nieprzyjaciół i utraty ziemi polskiej, robotnik polski jest niestety często zmuszony szukać zarobku tam, gdzie wystawiony jest nierzadko na pośmiech, drwiny i szyderstwo z tej tylko przyczyny, iż jest katolikiem i Polakiem. Trzeba więc usilnie starać się o to, aby mimo to został tem, czem go Bóg stworzył, aby nie utracił wiary i narodowości.

Dla tego uważam za rzecz arcyważną i konieczną, aby na dobre o tem pomyśleć, jakby tym biednym rodakom, wyrobnikom wiejskim oraz po miastach umożliwić czytanie pism naszych katolicko-polskich sposobem bezpłatnym.

Możeby należało z początku drogą składek zebrać potrzebny na to fundusz. Choć wiele u nas jest potrzeb i społeczeństwo nasze biedne, nie wątpię, iż dość obfite na cel ten wpłynęłyby datki. To też niniejszy projekt poddaję pod sąd publiczności polskiej“.

Redakcya „Gazety Grudziądzkiej“ przyklaskuje myśli powyższej i otwiera łamy swoje dla dyskusyi nad praktycznem przeprowadzeniem projektu.

—

W okręgu pszczyńsko-rybnickim na Górnym Szląsku postawił niemiecki komitet wyborczy kandydaturę p. Latacza na posła do sejmu.

MARYA KOMORNICKA.

SKRZYWDZENI.

SZKIC DRAMATU W 3 AKTACH.

(Ciąg dalszy.)

LEON *(otrząsa się ze wzruszenia, szydersko).* Dla swych dramatycznych póz masz widza. Zapomniałaś pani, że tu jestem, może!

WANDA *(wzdryga się, zmieszana).* Pan tutaj?... Pan zły... pan?...

LEON *(j. w.)*

Może nie wiedziałaś pani o tem?... tak się zatopiłaś w grze, że przestałaś wiedzieć, co się wokoło dzieje?

WANDA *(zupełnie swobodnie, zimno).*

Tak, niekiedy mi się to zdarza, choć może się to wam nie trafia, wam, ludziom trzeźwym i pożytecznym.

LEON *(j. w.)*

Lecz wybacza się wam, istotom wybranym, duchom wyższym, artystom!

WANDA *(z pobłażliwym uśmiechem).*

Czyż jest co wybaczać? Czyż to wina?

LEON.

Prawda... ja niekiedy bredzę... *(wybucha szyderczem wzburzeniem)* Prawda! to nie wina znieczulić się na świat zewnętrzny, konkretny! To nie wina wsłuchana w dźwięki, chodzić obojętnie wśród nędzy ludzkiej i bólu! To nie grzech stworzyć sobie raj w chmurach, a ludziom zostawić gorycz piekielną ziemi! Nie grzech oblizywać sobie palce wśród rozkoszy tworzenia i artyzmu, gdy inni pożerają swe ręce, bo nie mają co jeść!

WANDA *(z ironią).*

Zkąd taki patos?

LEON *(nami tnie).*

Zkąd? przed chwilą czytałem w gazetach o nowych gwałtach, dokonanych na robotnikach i ich wściekłych, a bezsilnych szarpaniach się w żelaznych pętach ucisku... O niewoli, łamiącej najpiękniejszy kwiat naszego społeczeństwa, o rozpanoszeniu się zwierzęcej tyranii! I szedłem tutaj, by rzucić pani ten krwawy szmat życia; lecz muzyka twoja zatrzymała mnie, zostałem w jej pętach, nikczemny! Dałem się pochłonąć jej bezcelowej potędze. Bo to zbytek na nią marnować siły i zdolności! Bo zbytkiem jest to, co bawi umysł i zmysły, gdy ludzie wiją się w bólu niezaspokojonych, pierwszych potrzeb! Zbytkiem grać „fantazye między gwiazdami“ — tym, którzy codziennie słyszą swoje, i dzieci swych, i drugich jęki; ach, oni mają co słuchać! Rozkiełznanych rapsodyi i tkliwych nokturnów im nie potrzeba! Ani malowanych drzew i twarzy! Ani posągów klasycznego piękna! Ani systemów filozoficznych, ani poezyi! Wy się bawicie w myśl oderwaną i sztukę, w analizę i muzykę; wy dajecie rozkosze swym oczom i uszom, wy uprawiacie gimnastykę dyalektyczną, a im potrzeba chleba! A energia czynu niszczy się w lochach więzień podziemnych lub na lodowych stepach Syberyi. A masa narodów ma tak ciemne mózgi, że im pierwszych wiadomości brak! A oni nie widzieli nigdy, zamknięci w suterenach i murach fabrycznych, co to widnokrąg swobodny, co to roślinność bujnie żyjąca w czystem polu! Wyście bogacze, zjadający pasztety wobec spętanych, głodnych nędzarzy! Wy szaleńcom niewoli i głodu podajecie salonowe cukry! Wy się bawicie, gdy pracować trzeba! Wy pracujecie dla zabawy i sama praca jest wam zabawą i rozkoszą. Wy nie znacie wysiłku w trudzie walki o cel, męczeństwa w imię celu! Wy samolubnie żyjecie wśród waszych rozkoszy, a że tam ten pogardzony „tłum“, na który patrzycie z wysokości waszej — „wyższości!“ — wije się z bólu, co was to obchodzi? Byleby wam było dobrze, bylebyście wy tworzyć mogli! Wyście przecie nie ludźmi! Tylko jakimiś półbogami, nie mającymi nic wspólnego „z gawiedzią“,

Przeciw kandydaturze tej występują „N o w i n y R a c i b o r s k i e“ (nr. 108) w słowach następujących:

„Dwojako można germanizować: gwałtem i łagodnością. Ale żadna germanizacya nie jest sprawiedliwą ani chrześciańską, bo usiłuje zniszczyć porządek przez Boga postanowiony, chce Polaków na Niemców przerobić. Czy kto gwałtem, otwarcie, jawnie germanizuje, czy łagodnością, po cichu, niepostrzeżenie, — równie źle czyni. Zasadą świętą jest: „prawo boskie zawsze i wszędzie szanować a nigdy go i w żaden sposób nie łamać“. Wielu jest takich, którzy gwałtem lud polski chcą zgermanizować, a niemało też takich, którzy także do tego samego celu dążą, którzy chcą również lud polski zniemczyć, lecz odrzucają gwałtowne środki a zalecają łagodne. Do takich należał dawniejszy poseł, ks. dr. Franz, który choć był posłem ludu polskiego, w Berlinie powiedział: „My jesteśmy także za germanizacyą, ale łagodną, nie gwałtowną“. Takich mężów, którzy podobnie, jak ks. Franz myślą, nie brak między zwolennikami centrowymi i takim też jest p. rektor Latacz z Katowic.

W gazecie nauczycielskiej (Kathol. Schulztg.) ogłosił on w marcu 1894 roku swoje zdanie o germanizacyi. Potępia tam wprawdzie gwałtowną germanizacyę, żąda, aby nauczyciele umieli po polsku i dzieci za pomocą języka polskiego uczyli, zaleca łagodność w nauce i postępowaniu, — lecz czyni to wszystko jedynie z tej przyczyny, ponieważ uznaje, że gwałtem do celu się nie dojdzie. Pisze natomiast: „Germanizacya tylko wtedy się uda, skoro germanizator potrafi niemiecką mowę i niemieckość wogóle uczynić miłą ludowi; skoro potrafi ludzi nakłonić, ażeby w domu po niemiecku mówili, po niemiecku się modlili. Trzeba się starać o to, ażeby serce ludu do niemczyzny rozgrzać, ażeby ludzie niemczyznę pokochali. Wtedy germanizacya się uda‘.

Pan Latacz przeto jest za tem, aby łagodnością lud germanizować i daje rządowi dobre rady, jak powinien postępować, jeżeli chce lud polski zniemczyć. A tymczasem wobec prawa boskiego nie ostoi się żadna germanizacya, ani gwałtowna, ani łagodna, — lecz owszem, prawo boskie germanizacyą w każdej postaci potępia! Lud polski, trzymając się tego prawa, musi wszystkiemi siłami bronić się przed każdą germanizacyą. Kto zaś jest za germanizacyą (gwałtowną czy łagodną), nie może być posłem ludu polskiego pod żadnym warunkiem“.

Kandydatura ta istotnie upadła na zebraniu w Żorach, gdzie lud polski wystąpił energicznie przeciw księżom germanizatorom i olbrzymią większością głosów mianował kandydatem swoim p. Radwańskiego, adwokata z Pszczyny, Polaka-patryotę, dzielnego mówcę i zasłużonego obywatela. Jest to poważny krok narodowego rozwoju na Górnym Szląsku, a krok ten mówi wyraźnie, że skończyły się na zawsze czasy hegemonii niemieckiej i politycznego niemowlęctwa ludu.

Z powodu jubileuszów festynów sedańskich takie wypowiada opinie toruński „P r z y j a c i e l“:

„Pokazuje się teraz po obchodzie sedańskim, że udział Polaków był w nim większy, niż się godziło i z początku zdawało. W niektórych miejscach przyłączyły się do obchodu tego nawet całe towarzystwa polskie. Po innych miastach w cechach i innych stowarzyszeniach, choć Polaków w nich najwięcej, nie umiano się też powstrzymać od tego. Trudno! ludzie są słabi a głupich też nie brak. Słabi myślą, że wielki dla nich z tego honor, gdy idą razem w tłumie i mają coś na sobie lub przed sobą, co w oczy podpada, albo też dumni z tego, że z panami urzędnikami są w jednej gromadzie. Głupi zaś myślą, że ich właśnie każdy najlepiej widzi i spamięta sobie, a potem będzie im za to życzył zarobku, czy to w handlu, czy rzemiośle, lub innem jakiem zatrudnieniu. Na prawdę zaś jest tak, że w gromadzie nikt ich nie widzi, a kto zobaczy, ten sobie pomyśli, żo to też taki spekulant, który chce im oczy zamydlić i udaje coś, czego w sercu nie czuje i czuć nie może, a chce tylko przez to zarobić. Więc się z takiego śmieją, albo z obrzydzeniem od niego się odwracają, jako od człowieka nie zasługującego na zaufanie i szacunek“.

—

„O r ę d o w n i k“ zamieścił w numerze 206 dłuższy artykuł przeciw korespondentowi naszemu z Górnego Szląska, — artykuł w formie nieprzyzwoity a w treści pełen wręcz fałszywych lub jednostronnych informacyi Nie podoba się mianowicie „Orędownikowi“, że korespondent nasz obniża zasługi „Katolika“, upatrując w jego przesadnej ostrożności i niewyraźnej barwie narodowej hamulec emancypacyi polskiego żywiołu na Szląsku; niepodoba się „organowi warstw średnich“, że scharakteryzowaliśmy dwulicowe zachowanie się „Katolika“ w sprawie wycieczki Górnoszlązaków na wystawę poznańską i przeciwstawiamy chwiejnej, lękliwej, żółwiej dyplomacyi bytomskiego pisma energiczną i odważną polityką „Gazety Opolskiej“ i „Nowin Raciborskich“. Obszerną odpowiedź na wywody swoje znajdzie „Orędownik“ w dzisiejszym artykule p. t. „Sylwetki szląskie“, którego autorem jest jeden z najdzielniejszych i najtrzeźwiejszych obrońców ludu górnoszląskiego. Tu zwracamy tylko uwagę „Orędownikowi“, że z faktów przytoczonych, jakoby „Katolik“ podał niegdyś myśl założenia „Gaz. Opol.“ i przed kilku miesiącami nabył „Nowiny Raciborskie“ na własność, nie wypływa bynajmniej, aby między gazetami temi a ich r z e k o m y m ojcem nie było poważnych różnic politycznych. Różnice te w stosunku do „Gazety Opolskiej“ były i są bezustannie nader wyraźne, a w stosunku do „Nowin“ zbladły nieco dopiero od chwili, gdy „Katolik“ nabył ten organ i odstąpił go p. Eckertowi.

Sympatye zresztą „Orędownika“ do bytomskiego organu nie dziwią nas bynajmniej, bo opierają się one na harmonii duszy i pokrewieństwie politycznych błędów. Tu i tam pragną tylko chleb polski wyrabiać, lecz budzenia ducha polskiego nienawidzą (stanowisko „Orędownika“ wobec Kościuszkowskiej rocznicy!); tu i tam pragną zachowania języka ojczystego, lecz „p e ł n i“ narodowego życia i narodowych dążeń nie uznają; tu i tam zamieniono program trzeźwej pracy organicznej w kult żołądka polskiego i suszarnię uczuć. Gdyby „Orędownik“ rozumiał psychologię organizmów zbiorowych, to pojąłby może, że takie dążenia jednostronne wiodą nie do życia, lecz do wegetacyi, a wegetacya prędzej czy później staje się niebytem. Tam, gdzie się kończą dwie mile widnokręgu „Orędownika“, tam nie kończy się jeszcze idea narodowa. Jest ona cytrą olbrzymią o tysiącznych strunach. Kto tylko w jednę uderza, ten słuchaczy nie porwie nigdy, nie rozpali nigdy i naród znuży, zniechęci, wyjałowi.

—

„G o n i e c W i e l k o p o l s k i“ zamieścił w nr. 207 sprawozdanie kasowe „Opieki szkolnej“ i takie przy tej sposobności dołączył uwagi:

„Tak w sprawie materyalnej odzywa się „Opieka“. Na czem jednak zasadza się dzisiaj jej opieka moralna, duchowa?

Czy Komitet „Opieki szkolnej“ pracuje wogóle? Jak ta jego praca wygląda?

Społeczeństwo nasze ma prawo do tego, żeby instytucya niezbędnie potrzebna, z łona obywateli poznańskich powstała, przedłożyła mu obraz swego działania.

Dla tego ponownie wołamy:

Wobec reskryptu Bossego, który więcej jak dwie trzecie dzieci wielkopolskich pozbawił nauki języka polskiego, Rada „Opieki szkolnej“ potrzebuje nowego mandatu do nowych zastosowanego warunków.

Dla tego znowu dopominamy się o wiec w sprawie nauki języka polskiego dla miasta Poznania.

Komitet „Opieki szkolnej“, skoro mu się więcej dziećmi w szkole opiekować nie wolno, powinien zaopiekować się temi dziećmi poza szkołą!

Powinien zdać sprawozdanie przedewszystkiem z pedagogicznych czynności, powinien przedstawić obywatelom, co zamierza czynić nadal.

Dzieci polskie, germanizowane przez szkołę, od roku już nie doznają opieki obywatelskiej, nie mają w społeczeństwie przyjaciół

Kto je poratuje?“

Przegląd prasy słowiańskiej.

Dziennik białogrodzki „M a l e N o v i n e“, który jest organem zupełnie niezawisłym, pisze o polityce rosyjskiej wobec Bułgaryi:

„Przed nie tak dawnym czasem pisał „G r a ž d a n i n“, że Bułgarya powinna stać się gubernią rosyjską. Do tego dodały „M o s k o w s k i e W i e d o m o s t i“, że niema wątpliwości, iż dla Bułgarów samych byłoby najlepiej, gdyby księstwo bułgarskie zamienili w gubernią rosyjską. Tego nie uczyni Rosya, bo powinna się poczuć Bułgarya sama do tego obowiązku, ażeby tym sposobem zasłużyć na zaufanie Rosyi. (?!) Przeistoczenie Bułgaryi na gubernią rosyjską znaczyłoby, iż jej zagwarantowano swobodny rozwój ekonomiczny, bezpie-

---

nie poczuwającymi się do żadnych względem niej obowiązków!

WANDA (*wzburzona*).

Panie Leonie! Logiczniej!

LEON.

Ha, ha, logiczniej! spokojniej! Ja nie umiem się hamować i nie wyć, gdy mnie ból dusi i dławi! A mnie oburza wasze samolubstwo, wasza pycha, wasz epikureizm! Wasze używanie z sumieniem nie zmąconem, wasza pogarda dla ludzi! Ale oburza!... Śmiech bierze patrząc na was ludzi wielkich, utalentowanych! „wyższych“ umysłowo i moralnie! Czemże wy się różnicie od tej pospolitości ludzkiej, którą tak gardzicie? Czem? Gdzie wasza zasługa? Jak bursztyn wydaje iskry potarciem, tak wy tworzycie! Wy nie dotykacie się życia i jego okrucieństwa! Was nie wzięły na tortury tryby jego kół; nie zmełło ono wam dusz, nie zapruszyło pyłem codziennej pracy i udręczenia, i to wam daje prawo nazywać się wyższymi! Wy, pieszczochy losu, pysznicie się łakociami, którymi was karmili! Nie znając ludzi, pogardzacie nimi. Cóż w was jest rzeczywiście innego? Ja w pani nie dostrzegam, coby cię odróżniało od innych ludzi, innych kobiet nawet! Jak oni, jesteś egoistką; tylko ten egoizm nie czepia się zwykłych przedmiotów pożądania, lecz pasie się subtelnościami twej duszy! Ah, wy wielcy! Wy jesteście, równie jak my, podli! Tylko wasza nikczemność, zamiast skakać do oczu grubymi rysami życia, przejawia się wykwintnie i widocznie dla tych tylko, którzy bez szkieł zachwytu na was patrzą! I gorsi od nas jesteście, boście uzbrojeni w siłę, której nie posiadamy: w talent. I za pomocą niego hypnotyzujecie nas i prowadzicie nad otchłań piekieł i niespokoju! Bezkarnie wam uchodzi wytrącenie nas z równowagi, zatrucie duszy, wypacenie życia! Bo na zbrodnie psychologiczne nie ma trybunału! przeciwnie, liczą się wam one jako zasługi! Za nie słyszycie szmer uwielbienia! Za to do nóg wam padają w cielęcem aaa! A wy zbieracie nawet nie raczycie zachwytów! choć i one wam się nie należą, boście na nie nie pracowali! Jakiem prawem nas dręczycie? Jakiem prawem wydobywacie z dusz to, co spać powinno, byśmy żyć mogli, kusicie marzeniami podłymi raju, budzicie bodaj skamieniałą! głąb duszy?... Słuchaj, dla czego (*gwałtownie*) pani teraz grałaś? Dla czego?

WANDA (*posępna*).

Miałam ochotę.

LEON (*szyderczo, namiętnie*).

A! miałaś pani ochotę! Mylisz się, jeżeli ci się zdaje, żem ślepy i dam się oszukać jak Kazio, jak wszyscy, którzy u nóg twoich leżeli lub leżą! Chcesz mnie, jak ich ujarzmić! W prochu mnie widzieć, zahypnotyzowanego, upokorzonego przed twą potęgą! Boś ty nie wolna nawet od próżności kobiecej, choć tak myślisz! Bo ty nie kokietujesz, jak inne, wyciętymi sukniami i mdlącą twarzą, lecz sztuką! Bo ty grać chcesz, jak ci się podoba, na duszach ludzi, by te dusze słuchały cię ślepo i to czuły, co im czuć rozkażesz! Lecz co do mnie, nie uda ci się to, moja pani! Ja nie będę niewolnikiem w twym orszaku! Ja gardzę tą problematyczną waszą wyższością, egoizmem, rozuzdaniem wytwornem waszych ja, które nazywacie sztuką i myślą! Gardzę! (*oddycha głęboko, z zimną ironią*) A jednak co za naiwność w przypuszczeniu, że wszystko, co nam dajecie, bierzemy za dobrą monetę! (*milczenie*) (*wzburzony*) Dla czego nic pani nie mówisz?...

WANDA.

Nie czuję potrzeby usprawiedliwiania się z dziecinnych zarzutów.

LEON.

Ha! najłatwiejszy sposób wybrnięcia z kłopotu! Dziecinne?... Zobaczymy, czy się pani takimi wydadzą, gdy z życia zdasz przed sobą rachunek sumienia! Zresztą kto milczy, potwierdza.

WANDA.

Komentarze pana do mnie nie należą.

LEON.

Wspaniałe! Naturalnie, co panią, istotę wyższą, obchodzić może myśl robaka! Nawet wątpliwości rozjaśnić mu nie warto! Niech co chce myśli; wszak on należy do tłumu,

czeństwo na zewnątrz i spokój wewnętrzny. Ale raz jeszcze podnosimy, iż Bułgarzy na taką łaskę dotąd nie zasłużyli. (?!)

„Tak piszą „Moskowskie Wiedomosti“. Z naszej strony dodajemy:

„Niechaj drudzy Słowianie rozważą sobie dobrze, co tam myślą w Rosyi.. I u nas są tacy, którzy sądzą, że Bułgarya bez Rosyi istnieć nie może, i pragną innych w błędzie utrzymać, że Rosya dobrze życzy Bułgaryi. Dziwne zaślepienie! Rosya ma być punktem oparcia dla Bułgaryi a dwa poważne dzienniki mówią wyraźnie, że uważałyby to za łaskę nam wyświadczoną, gdyby Bułgarya zrzekła się niepodległości i stała gubernią rosyjską“.

* * *

W numerze poniedziałkowym „Slovenski Narod“, organ Młodosłowińców pisze pod nagłówkiem „Narodnost in kosmopolitizem“:

„Z tego co nasi klerykali w swym głównym organie „Slovencu“ piszą, widać, że narodowość nie jest u nich rzeczą tak ważną, iżby jej interesy były dla nas najżywotniejszemi“.

„Dotychczas zarzucano kosmopolityzm naszemu stronnictwu, posądzając je o idee socyalistyczne, dziś nasz organ klerykalny nazywa patryotyzm pogaństwem. Według niego jest język środkiem, którym Boga chwalimy i środkiem porozumiewania się pomiędzy sobą, ponad tem znaczenia innego nie ma. Boga chwalimy tak samo po francuzku, włosku, jak i po słowińsku.

Na to odpowiadamy. Bożą wolą było, iż się urodziliśmy Słowińcami, jego wolą jest, abyśmy Słowińcami zostali, języka nie wolno nam zamienić na język drugi, jak się zamienia przedmioty służące do użytku codziennego. Nasz język powinniśmy kochać, kiedy go Bóg dał.

„Tylko wówczas, gdy staniemy na tem stanowisku, będziemy się mogli bronić przed kosmopolityzmem, przez który wciska się do nas germanizacya. Nasi germanizatorzy nam powiadają, iż język to tylko prosty środek, i jako taki jest niemczyzna lepszą od słowińszczyzny.

„Jeżeli nasi klerykali kiedykolwiek przeciw kosmopolityzmowi występowali, to czynili to z obawy przed socyalistami, o których rzec można, że w nich tyle patryotyzmu jak u klerykałów.

„Jednakowoż nie można o socyalistach powiedzieć, iżby byli przeciwnymi kulturnym potrzebom poszczególnych narodów. Z ich pism widoczne, że chcą dla narodowości praw równych.

„Wiedeńscy „socyaliści chrześciańscy“ są Słowianom mniej przychylni, aniżeli socyalni demokraci.

* * *

„Zastava“, organ serbskiej partyi narodowo-radykalnej, wychodzący w Nowym Sadzie, pisze o zgodzie chorwacko-serbskiej:

„Dziwni to są ludzie, owi dziennikarze chorwaccy, a z nimi porówno ci wszyscy, którzy się piórem bawią. Nie widzą oni dalej poza koniec swego nosa, o rzeczach najprostszych nie można dyskutować, gdy wchodzą w grę interesy „wielkiego chorwackiego państwa“.

„Chorwaci roszczą dziś pretensye do wszystkich ziem serbskich.

„Cały świat wie, że w Bośni mieszkają Serbowie i że mówią po serbsku — tylko uczone głowy chorwackie tego nie wiedzą. Niedawno temu miał odczyt profesor uniwersytetu zagrzebskiego Klaic, twierdząc, że wszyscy Bośniacy są Chorwatami, ponieważ mówią po chorwacku!

„Moglibyśmy cały szereg faktów przytoczyć na potwierdzenie tego, iż Chorwaci z każdym dniem nieledwie występują z pretensyami do krajów serbskich, w których nikt o Chorwatach nie słyszał. Ani nauka, ani prawda Chorwatom naszym nie imponują!

„Najśmieszniejszem jest atoli nazywanie Chorwatami wszystkich serbskich uczonych i poetów.

„Naszem zdaniem ugoda, którą „Obzor“ zaprojektował, jest możliwą, jeżeli uwzględniać będą tak Chorwaci jak i Serbowie to, co rzekł uczony nasz Daniszewicz: „Trzeba, aby Chorwaci nazywali się Chorwatami, a Serbowie Serbami dopókąd wspólnego imienia się dla nich nie wymyśli“.

„To jedno atoli powinni Chorwaci przyznać, że wyraz „Serbia“ jest starszym, że historycznie należy się Serbom pierwszeństwo...“

D. K.

LITERATURA I SZTUKA.

Z przyczyn niezależnych od redakcyi dokończenie artykułu: O „Rodzinie Połanieckich“ zamieścimy dopiero w następnym numerze.

„Proboszcz“.

(„Der Proboszcz“. Eine Nowelle aus dem Osten des deutschen Reiches von Erich Fliess.)

Słuszny czynimy często zarzut Niemcom w prowincyach zwłaszcza zachodnich i południowych, że lepiej poinformowani są o stosunkach Negrów i Chińczyków, niż o stosunkach współobywateli swych Polaków. Kto przebywał czas dłuższy pomiędzy Niemcami zachodniej i południowej części wielkiego państwa, ten nasłuchać się musiał do syta najpotworniejszych bajek o wpółdzikich polskich Azyatach, którymi niańki niegrzeczne straszą dzieci, a starsi mianem ich posługują się jako klątwą pogardliwą. Znają oni Polaków li tylko z pewnego rodzaju nieprzyjaznych nam bibuł gazeciarskich i powieści takich, jak n. p. Franzos, Sacher-Masoch, Freytag i t. p. fałszerzy prawdy, u których Polak to ów dumny, napół obdarty hidalgo hiszpański, z pod którego łachmanów przebijają strzępy karmazynowe — zawsze pełen buty, fantazyi, zachcianek pańskich, wiedziony najniższym instynktem, porywczości, obłudy i t. p. przymiotów.

Nie jesteśmy co prawda aniołem pomiędzy narodami, przeciwnie, jako składnik ludzkich jednostek, grzeszymy też po ludzku. Lecz jak wobec mnożących się zbrodni i obłędów, twierdzić nie można, że wszyscy ludzie zbrodniarzami lub obłąkańcami, tak też nie wolno ogólnych zboczeń moralno-ludzkich, ujawniających się u pewnej liczby ludzi, przypisywać całemu narodowi. W publicystyce niemieckiej jednakże, zwłaszcza w rodzaju wyżej nadmienionych pisarzy, chęć uogólniania i malowania „na szaro“ stosunków polskich, posunięta nieraz do tendencyjnych fałszów i oszczerstw, jest nadto widoczną, by jej nie dostrzedz. Nie pragniemy idealizowania Polaków jako takich, jak to czyni nieraz sympatyczna nam Natalia Eschstrut, — tylko prawdy, na tle której to Erich Fliess w nowelach swych stosunki wielkopolskie maluje — a przynajmniej malować się stara. Żyjąc czas dłuższy w Księstwie „za lepszych jeszcze czasów“, poznał Polaków, z którymi, jak sam powiada, niejeden wypił gąsiorek węgrzyna, i przyszedł do przekonania, że nie są wilkami. — Podczas kiedy Franzos, Sacher-Masoch i t. p. szukają postaci swych z latarką tendencyjną w mgle nocnej po bagniskach polskich, przedstawiając nam jakieś mglane upiory, ziejące zarazą, — Fliess chwyta bohaterów swych w dzień jasny pomiędzy ludźmi z ciała i krwi, z wszystkiemi ich dodatniemi i ujemnemi stronami, dowodem czego najlepszym jego „Ge-

---

którym pogardzasz! Zgnieść go zupełną, pyszną obojętnością o to, czego jest wart!

WANDA.

Cóż mam tłomaczyć? Wszystko coś pan mówił jest dla ciebie pewnikiem.

LEON (*gwałtownie*).

Pytaniem! Oskarżeniem!

WANDA (*dumnie*).

Lecz mnie niema na ławie oskarżonych!

LEON (*wzburzony*).

Wando!... (*urywa*) nie! obłędu tu dostać można! Dla czego pani grałaś? Dla czego? (*wybiega*) Boże, jaki ja jestem głupi!

(*Leon wybiegając potyka się o Rózię płaczącą u drzwi.*)

LEON (*szorstko*).

Co ty tu robisz?

RÓZIA (*nie podnosi twarzy, głosem pełnym łz*).

Słuchałam... czekam, by pani grała....

LEON (*gwałtownie*).

Ty płaczesz!

RÓZIA (*podnosi twarz*).

Słyszałeś, jak grała?... Wszystko gra jeszcze smutnie, bolesno... słyszałeś, jaka ona nieszczęśliwa?... (*wybucha łkaniem*) Siądź i płacz także!

(*Wanda wbiega i chwyta Rózię w objęcia.*)

LEON (*walczy z sobą*).

Głupie dziecko! Mazgaj!

RÓZIA (*gwałtownie*).

Tyś zwierzęciem, jeżeli nic nie czujesz!

LEON.

A ty histeryczką, dostającą spazmów za lada powodem!

WANDA (*do Leona*).

Co jej się stało?

LEON.

Ma atak nerwowy. Rzeczą pani ratować tych, których gubisz.

WANDA (*gwałtownie*).

Co ja jej zrobiłam?...

LEON (*zimno*).

Grałaś; rozkoszuj się jej łzami! Wszak to tryumf, tryumf geniusza! Pani nie cierpisz, grając, a innych przyprawiasz o męki.

WANDA (*ściska w objęciu Rózię*).

Róziu!

(*Rózia zarzuca jej ręce na szyję i łka konwulsyjnie, głuche milczenie, Wanda patrzy w dal, Leon na nie.*)

LEON (*szydersko*).

To się nazywa zbawiennie wpływać na ludzi.

RÓZIA (*zrywa się gwałtownie, z oburzeniem*).

Tak! Lepiej mi z tymi łzami, niż gdy słucham twych kazań o pożyteczności!

LEON.

Nie odpowiadam ci, boś teraz obłąkaną, niepoczytalną, boś prostą zabawką pani!

RÓZIA (*gwałtownie*).

Wolę być jej zabawką, niż twoją! Jej siła jest wielką i dobrą, a ty jej nie masz i dla tego jej zazdrościsz!...

WANDA.

Róziu!...

LEON (*dotknięty, blady*).

O, proszę panią, nie bądź wspaniałomyślną aż do brania mnie w swą opiekę! Tylko wiedzcie obie hypnotyzerka i medyum, że zazdrość można tylko rzeczywistej potęgi. Hysteryczna gra robi wrażenie tylko na chorobliwych ustrojach.

RÓZIA (*z błyszczącymi oczyma*).

Tyś więc zdrowy?...

LEON (*szyderczo*).

Nie wszystkich opętała, jak ciebie, nie wszyscy są jej maryonetkami!

WANDA.

Róziu, nie unoś się; twój brat należy do ludzi, którzy muszą wyrzucić z siebie cały zapas nagromadzonej żółci, by być później dobrymi.

RÓZIA (*namiętnie*).

Jak pani możesz być tak spokojną! Wszak ciebie wszyscy powinni kochać i czcić!

WANDA (*wstrząsa głową, z zadumą*).

Nie... pan Leon ma słuszność, przeceniasz mnie, dziecko.

LEON (*z żółcią*).

Jak doskonale umiesz pani stosować się do okoliczności! Bez zarzutu!

schichten aus dem Osten des deutschen Reiches". Ukazały się do tego czasu trzy, t. j. „Zal Mawet" — „Die drei Erynnien" i „Der Proboszcz" — a autor obiecał swego czasu więcej. Prosimy.

Wątpię, czy Erich Fliess zużyłby jako motyw powieściowy zdarzenie z dni ostatnich n. p. pod tytułem „Das Ehrenwort eines polnischen Edelmannes", piętnując niecną frymarkę ziemią ojczystą i bryzgając przez to całemu naszemu ziemiaństwu w twarz obelgą. A gdyby to uczynił, przekonany jestem moralnie, że podzieliłby równo światło i cień, że nie biłby z tego kapitału sposobem Franzosów itp. celem zohydzenia całego społeczeństwa. — W „Trzech Eryniach" n. p. wprowadza autor czytelnika do dworku polskiego szlachcica, w którym rozgrywa się ku końcowi powieści romans pomiędzy siostrzeńcem tegoż, oficerem pruskim pozasłużbowym, Niemcem, a daleką tegoż krewną, polką, młodą wdówką. Szlachcic ów to typ jakich wiele, poczciwiec stary, żyjący tradycyjnemi bajkami, wiecznie narzekający na ciężkie czasy, a przytem spijający niezmiernie dobrego węgrzyna. Autor, zdaje się, sam lubi węgrzyna, wysuwając go raz poraz na miejsce pierwszorzędne we wszystkich powieściach, i zdaje się, jakoby uważał go wogóle za czarowny jakiś trunek, pod wpływem którego nawet młody oficer niemiecki roztajał i poszedł na lep pięknych ócz młodej wdówki. Tak, „nullum vinum nisi hungaricum", kogo na to starczy. Zdaje się, jakoby w węgrzynie leżała jakaś siła na dnie, kojarząca powaśnione i przeciwne żywioły. O ile w tem prawdy, nie naszą rzeczą dowodzić, pozostawmy to fizyologii i chemii. Lecz żart na stronę.

Jakkolwiek autor szczerze sympatyzuje z Polakami, nie spodziewajmy się z jego strony egzaltowanych tyrad i wonnych kadzideł. Że n. p. hrabina owa w „Eryniach", którą młody oficer w drodze do wuja spotyka na werandzie, ma suknię białą problematycznej czystości, jako też w „Proboszczu" pani Zabłocka ukazuje się w oknie w kaftaniku niezbyt, że tak powiem, świeżym, lub też, gdy mówi autor o dzieciach wiejskich, że odziane w brudną koszulinę, dzierżą na „czworokątnej włościańskiej kołtonowatej głowie" baranie czapki swych rodzicieli, to niejedną czytelniczkę może ubodzie, lecz mniejsza o to. Nie jest to wynikiem niechęci lub uprzedzenia — prędzej wynikiem naturalnym, bezwiednym, realistycznego jego pióra, które pod tym względem więcej jeszcze rozmachało się w pierwszej powieści „Zal mawet". Lecz, jak powiedziałem, Fliess równo rozdziela światło i cienie; rodzina Zabłockich, zbankrutowana szlachta brukowa, łatająca dziury karmazynem, ma w przeciwstawieniu starego hr. Twardowskiego, wzorowego gospodarza, idącego z prądem i postępem czasu. Cieni jest tam dużo, a zwłaszcza kobieta, Polka, niknie w półmroku, lecz za to tem jaśniej i wyraźniej wychodzą na plan pierwszy postacie takiego Wojciecha Przybylskiego „proboszcza", syna włościańskiego i opiekuna jego starego proboszcza", których poznamy lepiej, streściwszy w krótkich słowach całą powieść.

Msza pontyfikalna w katedrze gnieźnieńskiej zrobiła na poczciwej kobiecinie wiejskiej takie wrażenie, że odurzona blaskiem kap lśniących, kadzidłem i muzyką, ślubuje u stóp ołtarza św. Wojciecha, jeżeli będzie syn, poświęcić go stanowi duchownemu. Pan Bóg wysłuchał prośby i w dzień św. Wojciecha wydała na świat syna, któremu dano na chrzcie św. imię Wojciech. Mały Wojtek rósł jak ten kwiatek polny, a ludzie i kumoszki spoglądały na niego jak na przyszłego duszpasterza. Dowiedział się o tem proboszcz wsi Sokolniki, zajął się małym przyszłym swym konfratrem, wtajemniczając go, kiedy już był podrósł, w początki wszechmądrości gimnazyalnej. Odtąd nazywano Wojtka nie inaczej, jak tylko „proboszczem", mianem, które mu nawet młody panicz, hr. Ignacy Twardowski, przyznawał. Chłopak rósł jak na drożdżach i przyszedł czas wreszcie, kiedy go opiekun i dobroczyńca jego wyprawiał do gimnazyum. „Ojczyzna i Kościół — oto dwa skarby drogie, które kiedyś twej pieczy powierzone zostaną. Klęknij, synu, i przyjm błogosławieństwo Kościoła" — takiemi słowy pożegnał go proboszcz — bryka ruszyła i ojciec zawiózł go do miasta, oddając go na stancyę do ciotki Pelagii, poczciwej szewcowej. Zdał egzamin do kwinty, gdzie spotkał się z młodym hr. Ignacym, który go po kilku latach, kiedy „proboszcz" już był prymanerem, wprowadził w dom państwa Zabłockich jako korepetytora. Żyjąc po sprzedaniu wsi w smutnych warunkach, zamieszkali Zabłoccy skromne pomieszkanie na przedmieściu. Z czego żyli, nikt nie wiedział; czem żyli? — Pan Zabłocki był bez zatrudnienia „wiodąc żywot szlacheckiego próżniaka" — pani Eufemia zaś żyła polowaniem na męża dla swej Anielki, paplaniną francuzką, fortepianem i romansami. Ignac Twardowski, który zalecał się do Anielki, wybrał na korepetytora dla małego Zabłockiego proboszcza, jako najmniej niebezpiecznego rywala. Tymczasem „proboszcz" ani wiedział, jak sam się w Anielce pokochał. Pani Eufemia zauważyła to i poczęła układać plany, rozumując, że Wojciech nie koniecznie zostać potrzebuje księdzem, może zostać n. p. profesorem, a potem . . . pozostanie rezerwistą, gdyby Ignac Twardowski się miał sprzeniewierzyć. Zbliżył się czas matury. Wojciech zdał chlubnie egzamin, a pani Eufemia przekonała go o wzajemności Anielki i skłoniła do tego, że poszedł na uniwersytet i słuchał filologii. Różaniec i modlitwa okazały się nieskutecznymi, by odpędzić od biednego „proboszcza" demona ziemskiej miłości . . . i uległ. Wojciech zawiadomił listownie o kroku swym dobrodzieja swego, proboszcza, który w odpowiedzi nie miotał nań klątwy, lecz godząc się z wolą wyższą, przysłał przebaczenie swe i błogosławieństwo, nie tracąc nadziei, że Wojciech się upamięta. Po latach kilku zdaje Wojciech egzamin doktorski i wraca w dom Zabłockich na zaręczyny z Anielką. Pani Eufemia żałuje kroku swego tak stanowczego, dowiedziawszy się, że stary hr. Twardowski śmiertelnie chory, po śmierci którego nie trudno by jej może było skojarzyć Ignaca z Anielką. Zaręczyny się odbywają, młody Twardowski zjawia się niespodziewanie z żałobą po ojcu. Anielka widzi go, tajona miłość rozdziera jej serce i pada martwa w ramiona narzeczonego. Wojciech widzi w tem palec Boży, jedzie do Rzymu i zostaje księdzem. Odebrawszy święcenia kapłańskie, donosi o tem proboszczowi, który list jego otrzymuje w chwili, kiedy wybiera się z Najśw. Sakramentem do łoża śmiertelnie chorego starego Przybylskiego, ojca Wojciecha. „Błogosławioną niechaj będzie Najświętsza Marya Panna! Wojciech jednak proboszczem zostanie" — oto słowa ostatnie umierającego.

Dla scharakteryzowania sposobu pisania autora dodam, że przeplata powieści swe zwrotami polskiemi, tłomacząc je odnośnie na niemieckie. Dając wyraz sympatyi niemieckiemu autorowi, wyrażam nadzieję, że wkrótce nam da więcej owoców talentu swojego. Jedno pozwolę sobie jednakże położyć „ale", t. j. żeby w przyszłości pomyślał także o świetlejszych typach kobiety polskiej, w miejsce górującego typu szlacheckiej rajfurki, kupczącej ręką swego dziecka.

Zarzut ten łagodzi jedynie typ Anielki, tej białej, niewinnej róży wodnej, kołyszącej się w całej swej czystości i nieskazitelności na mętnej, błotnej wodzie stosunków familijnych, oraz typ matki Wojciecha, tej siermięgowej prostoty, ofiarującej najdroższe, co pod sercem nosiła, z najgłębszą wiarą i poddaniem się Bogu. Nie działają one co prawda bezpośrednio, są jednakże owym claire-obscure, pośredniczącym pomiędzy światłem i cieniem.

Gniezno w wrześniu.

Alastor.

WANDA (*z głęboką, litosną ironią*).
I myślisz, że się z tobą liczę, niepowołany aż do absurdu domyślny sędzio!

RÓZIA (*zrywa się i staje przed Leonem*).
Czy ty wiesz, że pani jest nieszczęśliwą, jak żadne z nas, i wielką, tak wielką, żeś niegodny zamiatać drogi, po której chodzi, słuchania jej muzyki i patrzenia jej w twarz.

WANDA (*gniewnie*).
Róziu! przestań, to niema sensu!

LEON (*gorzko*).
I pani mówisz, że ci nie chodzi o bałwochwalstwo ludzi!...

WANDA (*z poważnem spojrzeniem*).
Co robię, by je mieć?...

LEON (*gwałtownie*).
Gdybyś go nie pragnęła, nie objawiałabyś swej siły!...

WANDA (*śmieje się szydersko*).
A!

RÓZIA (*wybucha śmiechem*).
Ty chyba dostajesz bzika... To zupełnie to samo, jakbyś pięknej kobiecie, którą wielu do szaleństwa kocha, zrobił zarzut, że nie oblała sobie witryolem twarzy, by, stając się brzydką, przestała budzić miłość!

LEON (*traci panowanie nad sobą*).
Tak! gdybym ją kochał, zrobiłbym jej ten zarzut! Oblałbym ją sam witryolem, by mnie przestała dręczyć!

(*Wanda podnosi nagle twarz i wpatruje się w Leona.*)

RÓZIA.
Ha, ha! wyszło szydło z worka! Więc ty, apostoł pożyteczności, jesteś tak drapieżny?...

LEON (*upokorzony, skrępowany wzrokiem Wandy*).
Uważam, że wszystko co wywołuje cierpienie, powinno być usunięte.

RÓZIA.
To zależy od cierpienia... i jego wpływu na nas... wolę cierpieć z panią Wandą, gdy gra, niż cieszyć się z tobą, gdy wygrasz sprawę; i ją wolę, choć taka dziwna, niż ciebie, choć jesteś taki zwykły i zadowolony.

WANDA.
Mylisz się, Róziu; on chce być podobnym do drugich, i nie może, i to go dręczy... wszak tak jak on nie postępują inni.

LEON (*z dreszczem gorzko*).
Nie! nie chcę, ale jestem człowiekiem przeciętnym i nie pragnę być niczem więcej.

WANDA.
Przeciwnie, chcesz pan być czemś mniej niż jesteś; upatrujesz wzór w pospolitości, bo pragniesz od niej spokoju... którego nie posiadasz, miotany wbrew swej woli koniecznością wyższej przemiany... Nie masz odwagi być tem, czem być możesz, nawet tem, czem jesteś. I mimo wszelkich usiłowań nie staniesz się całkiem do ludzi podobnym, co najwyżej być możesz mieszaniną pospolitości i wyższości piasku i złota, płaskości i głębokości; twój niepokój jest walką lepszych i indywidualnych popędów z nałogami życiowej małości... I dla tego ten bunt przeciwko wszystkiemu, co stoi ponad powszedniością, co oburza ferment twego dławionego ja, co obnaża twą odrębność i nie pozwala zapaść w ciszę jałowości... otulać się w liberyę moralną pospolitego życia...

LEON (*wzburzony*).
Na co się doskonalić?... Wyodrębniać?... Spełniajmy swe obowiązki ludzkie, a czem jest dusza mniejsza!

WANDA.
Kto nie postępuje, cofa się; kto pływać nie chce i wydobyć się na powierzchnię wody, musi utonąć.

RÓZIA.
Ty tego nie rozumiesz?...

LEON (*rozdrazniony*).
Idź Róziu, drażnisz mnie!

WANDA.
Bądź dobrą dla brata!

RÓZIA (*odchodząc*).
Nie chcesz, bym była z Wandą!

LEON (*gorzko*).
Mów pani dalej, powiedziałaś mi gorzkie, gorzkie rzeczy! Lecz czego nie zniosę od ciebie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

BADANIA NAUKOWE.

Kryminalistyka polityczna.

L. PROAL. „La criminalité politique“, Paris, 1895.

W chwili dzisiejszej, gdy korupcya społeczeństwa europejskiego doszła niemal do szczytu, gdy parlamenty staczają się coraz głębiej w przepaść stronniczych walk i czczych debatów, gdy wreszcie szumowiny proletaryatu umysłowego, w rodzaju anarchistów francuzkich, rzucają się z nożami na przedstawicieli rządów i usiłują bombami zgruchotać świątynie Pańskie — warto usłyszeć, co mówią ludzie sprawiedliwi i rozsądni, którzy rozumieją dobrze stan rzeczy i jasno widzą drogę, wiodącą do uzdrowienia społecznego ducha. Do takich właśnie należy Ludwik Proal, autor książki „La criminalité politique“ („Przestępczość polityczna“), w której rzuca potężne światło na spaczenia polityki. Proal jest członkiem trybunału apelacyjnego w Aix i twórcą uwieńczonego przez akademię nauk moralnych i politycznych dzieła, p. t. „Le crime et la Peine“ („Przestępstwo i kara“), w którem wystąpił przeciwko zbyt luźnym teoryom C. Lombroso o fizyologicznem pochodzeniu przestępstwa. Na stanowisku sędziego Proal miał do czynienia z licznemi okazami anarchistów i dla tego książka jego o przestępstwach politycznych nie jest suchym traktatem; przeciwnie, rzecz to pełna żywej a płodnej idei, szlachetnego oburzenia i niekiedy piołunowej goryczy, zwłaszcza, gdy autor zwraca się ku przeszłości i rozwija obraz przestępstw politycznych wielkiej rewolucyi.

Już we wstępie powiada Proal, że kwestya polityczna, podobnie jak kwestya socyalna, jest przedewszystkiem kwestyą moralną. Prawdziwym celem polityki jest czynić ludzi doskonałymi pod względem moralnym, a polityka tem większą posiada odpowiedzialność, że wpływa na masy. Niema większego złoczyńcy nad przestępcę politycznego, bo on dla swej żądzy gubi całe społeczeństwa i zatruwa życie całych pokoleń; podobnież i partye, rządzące krajem nieuczciwie, wpychają go na długie lata w mętną otchłań niedoli i co gorzej, wypaczają pojęcia obowiązku społecznego. Mężowie stanu powinni być wzorem cnót moralnych; tymczasem ludzie, upojeni władzą, uświęcają nieraz największe gwałty gwoli zadośćuczynienia swoim instynktom. Niedarmo też Napoleon I powiedział o sobie na łożu śmierci: „Władza odurza ludzi“. Wszystko nieraz poświęca się dla smutnych zasad, w rodzaju: „siła przed prawem“, albo „dobro ludu jest prawem najwyższem“, i niema chyba wykroczenia, którego nie usprawiedliwiałby t. zw. „racya stanu“ (raison d'état). Istnieje jakby podwójna moralność: polityki i życia prywatnego, tak, iż ludzie, w życiu codziennem postępujący dobrze, zupełnie przeciwnie postępują w polityce. Rzymianie starożytni i współcześni Anglicy, u których poczucie sprawiedliwości w życiu prywatnem jest tak wielkie, nie wahali się jednak dla „dobra“ państwa używać środków niesprawiedliwych; Machiawel zaś onego czasu wprost zalecał posłom, ażeby dbali o swoją sławę ludzi uczciwych, gdyż w ten sposób lepiej potrafią oszukać przeciwnika.

Autor książki zalicza do dziedziny kryminalistyki politycznej wszelkie objawy moralnych spaczeń na tle społeczno-politycznem, oraz wszystkie zbrodnie, popełniane w celach politycznych. Rzecz prosta, że go zajmują w pierwszym rzędzie objawy anarchizmu: dzieło swe Proal pisał w czasie największego naprężenia opinii publicznej we Francyi, poruszonej zeszłorocznemi zamachami anarchistów. Ze stanowiska moralności anarchizm jest ostatnim wyrazem zdziczenia i Proal nie widzi w nim najmniejszej racyi, jaką mu raczą przypisywać krytycy społecznego ustroju w Europie. Zanim jednak przejść do moralnej analizy anarchizmu, Proal czyni rzut oka na najdawniejszy w historyi świata objaw przestępczości politycznej, mianowicie na t. zw. królobójstwo, popełniane dla dobra ludu lub kościoła, zwraca uwagę na całą jego ohydność. A były jednak czasy, gdy zabójcy monarchów przygotowywali się do swoich czynów praktykami religijnemi, jak np. słynny Clément, który uśmiercił Henryka III.

Anarchizm — to zjawisko nowożytne, lecz w zasadzie swojej równie stare, jak polityka. Dawniej zabijano królów; teraz mordują prezydentów republik i nawet po prostu ludzi, należących do burżuazyi. Ręką anarchistów kieruje ta sama obłudna i nieuchwytna maksyma: „dobro ludu“. Ponieważ władza przeszła teraz do zgromadzeń prawodawczych, anarchiści rzucają bomby w parlamentach; ponieważ rząd, według ich zdania, jest wybrany i broniony przez klasy posiadające, przeto rzucają oni bomby wszędzie, gdzie przedstawiciele tej klasy znajdują się w większej liczbie: w teatrze, w sądzie, w kawiarni, nawet w kościele. „Dobro ludu“ omamia ich i popycha do strasznych wybryków i mordów masowych. Już Danton za czasów wielkiej rewolucyi wygłosił sofizmat, że „dobro ludu wymaga wielkich środków i strasznych czynów“. Anarchiści wyrażają tę samą myśl w słowach: „społeczeństwo jest chore; aby je uzdrowić, trzeba wyrżnąć burżuazyę, ponieważ ona to przeszkadza ludowi być szczęśliwym“. Zbliżeni do Jakobinów z roku 1793 w swych teoryach politycznych, anarchiści różnią się jednak od nich w poglądach na własność i rząd: Jakobini usiłowali je utrzymać, anarchiści pragną zburzyć.

Już podczas wielkiej rewolucyi wystąpili na scenę ludzie, nazywający własność — kradzieżą, zaś bogatych — złodziejami. Pisma wolnomyślnych filozofów wieku zeszłego (Mably, Diderot, Rousseau) przygotowały grunt pod zasiew tych pojęć o własności. Dzisiaj one wybujały i taki n. p. Elizeusz Réclus pisze bez ogródek: „Należy zapewnić wszystkim całkowite zadowolenie potrzeb i używanie życia“. Z podobnych poglądów wylęga się wniosek, że bogaci wrzekomo są przyczyną istnienia ubóstwa, zaś religia winną jest, że nie pozwala na szalone panowanie namiętności i żądz. Nic zatem dziwnego, że Proudhon, ów „nieśmiertelny ojciec anarchizmu“, jak go nazywa słynny Krapotkin, wygłaszając maksymę: „własność jest kradzieżą“, dodaje natychmiast: „zaś katolicyzm — to wróg“. Gdy więc własność uznaną została przez anarchistów za kradzież, sama kradzież w oczach ich nabrała godności restytucyi (przywrócenia prawa). Proal w praktyce sądowej miał do czynienia z oskarżonym o ciężkie kradzieże anarchistą, który mu powiedział: „nie jestem złodziejem, ale przywrócicielem prawa (restitutionnaire). Bogaci byli i są przedmiotem nienawiści, ponieważ na nich można uprawiać wszelkie restytucye“. Podczas wielkiej rewolucyi francuzkiej arystokraci i duchowieństwo ulegali strasznemu prześladowaniu nietylko za to, że byli przedtem panami, lecz i za to, że byli bogaci; biała i delikatna skóra rąk była wówczas dostatecznym powodem do skazania kogoś na śmierć. Rewolucye wogóle odznaczają się gwałtowną żądzą zniwelowania wszystkiego do jednego poziomu; niwelują zaś dla tego, aby dać folgę pospolitej zawiści. Armia więc, która wyróżnia się z ogółu ludności uprzywilejowanem położeniem i karnością, stanowi szczególny przedmiot zabiegów partyi anarchistycznych w czasach obecnych. Broszury przeciwko wojsku ciągle się mnożą, żołnierze nawoływani są do nieposłuszeństwa władzom i do „zbratania się“ z ludem.

Podobnie jak niektórzy wybujali pisarze propagowali z przesadnemi skargami zniesienie małżeństwa, państwa i stosunków towarzystkich dla „szczęścia“ ludzkości, tak też i anarhiści usprawiedliwiają dziś wszelkie przestępstwo, bunt i przewrot „szczęściem“ ludzkości. Oni

---

Hr. LEW TOŁSTOJ (syn).

POKUSA.

I.

Nad ranem dnia 12 stycznia 189* obudził się student Własow w znakomitym humorze. Niebieskie, okrągłe oczy patrzyły ku białej niskiej posowie pokoiku, do którego się był przywiązał. Czerwonawe światło dopiero co wschodzącego słońca wpadało przez szronem zakute szyby małych okienek bez zasłon, czuł, że dłużej już spać nie może, chociaż było jeszcze bardzo wcześnie.

— Jak ładne, jak przyjemne, jak wesołe jest życie — to była jego pierwsza myśl.

W izdebce było zimno, parę oddechu można było dostrzedz, lecz w wygrzanem łóżku, pod kolorową wełnianą kołdrą, którą ręka matki zrobiła, było mu przyjemnie, a zimny prąd powietrza, muskający mu oblicze, chłodził go.

Kolega Własowa, Iwański, spał jeszcze na swem żelaznem, pogiętem łóżku. Chrapał dosyć głośno pod wytartym studenckim płaszczem, którym się przykrył ten olbrzym. Twarzą obrócił się do pieca, skulił się i tylko tęgi jego kark i krótko przystrzyżona głowa, czarnym pokryta włosem, były widoczne.

Własow podniósł się, spojrzał na niklowy zegarek, a potem na swego kolegę.

— Niech śpi — pomyślał. Jeszcze wcześnie. Wczoraj późno w noc czytał. Jakżeż on dziś się zachowa, obawiam się o niego.

Własow rozciągnął się znowu i przykrył się kołdrą aż pod samą brodę.

Twarz jego dobroduszna, otwarta, z dołkami na świeżych policzkach, z nosem szerokim, w górę wygiętym, przybrała wyraz szczerego, naiwnego uszczęśliwienia. Usta złożyły się do uśmiechu pełnego zadowolenia, oczy jego błyszczały, cały wygląd wyrażał świeżość i zdrowie. Całość robiła wrażenie czystości młodzieńczej, którą spostrzeżesz tylko u młodzieńca niezepsutego i niewinnego — niewinność taka pociąga.

Na pierwszy rzut oka niktby nie pomyślał, że młodzian ten jest studentem, który już przyswoił sobie cały obszar mędrkowatej histologii. Własow założył obie ręce pod głowę, pokrytą bujnym, miękkim, jasnym włosem i rozmyślał.

— Dzisiaj dzień Tatjany, dzień założenia uniwersytetu, pierwszy taki dzień w życiu jego studenckiem; obchodzić go będzie jako dorosły. Ucztować będzie z wszystkimi w restauracyi, przysłucha się wszystkim mowom, przypatrzy się tej przedziwnej równości i swobodzie panującej w dniu tym pomiędzy profesorami i studentami.

— Pyszne uczucie być akademikiem — snuł Własow wątek swój dalej — odczuwa się, że się jest człowiekiem, istota cała się zmienia: jakby skrzydła wyrosły. Inaczej to jak w gimnazyum, gdzie się profesorowie wydają jak wyższe istoty, gdzie się czuje wobec nich małym, głupim, niezdolnym. Tu wszystko całkiem inaczej wygląda. Iwański mówił mi, że w dniu tym wszystko się łączy: i studenci i profesorowie. Jak to swobodnie się wszystko obraca, bez żadnej sztywności w obejściu! Przepiękne to być musi.

Własow począł sobie wyobrażać, co on to w dniu tym ujrzy i przeżyje, wszystko, o czem tylko słyszał z opowieści i co znał dotąd z własnej fantazyi.

— Głównie przy uczcie za wiele nie jeść! Postanowił to sobie mocno, gdy pomyślał o pijaństwie, które w dniu tym jest nieodzowne. Wypiję tylko cokolwiek dla przyzwoitości. Wieczorem pójdę do teatru. Połączę pożyteczne z przyjemnem, widząc sztukę Ostrowskiego. Potem natychmiast pójdę do domu. Na drugi dzień znowu do pracy i znowu zacznie się regularne życie. Pysznie! Jak to przyjemnie wzbogacić się wiedzą, o której się ma przekonanie, że jest pożyteczną. Pół roku studyi minęło. Jeszcze $4\frac{1}{2}$ roku, a zostanę lekarzem, doktorem, tak przecie tytułują lekarzy — doktor Własow. Powrócę do mego rodzinnego gniazda, do S., pozyskam wielką praktykę, sława moja rozgłosi się po całem mieście, tak jak teraz

o wymyślili sofizmat, jakoby człowiek pojedyńczy mógł i miał prawo zastąpić państwo, aby pomścić krzywdy i zapobiedz niesprawiedliwościom. Zepsucie obyczajów i pojęć w znacznej mierze obciąża sumienia wielu lekkomyślnych romansopisarzy i dramaturgów, którzy proponowali uzupełnić „prawa mężczyzny i kobiety“ prawem „miłości i cudzołóstwa“. Poeci uporczywie domagają się od społeczeństwa „prawa alimentów“. Filozofia materyalistyczna chce „prawa szczęścia i używania“; socyaliści wytoczyli „prawo pracy“, rewolucyoniści „prawo wywrotu“. Wszystkie te „prawa“ wieńczy wynalezione przez anarchistów prawo „kradzieży i mordu“. Podobnie jak autorowie dramatyczni bohaterom swoim dla zaspokojenia ich namiętności nadali prawo „witryoleju i pistoletu“, tak też anarchiści proklamowali prawo „dynamitu“. Wprawdzie niektórzy anarchiści wykazują wobec gilotyny spokój, właściwy fanatykom; lecz ogromna ich większość, głosząc „prawo mordu“, sama jak najstaranniej unika śmierci, usiłując spiesznie uciec po dokonanym zamachu.

Historycy usprawiedliwiają wielkie polityczne mordy racyą stanu, nauki przyrodnicze, materyalne — walką o byt. To są dwie najstraszliwsze pomyłki, jakich się umysł ludzki w stosunku do społeczeństwa dopuszcza; sprowadzają one opłakane następstwa. Podziwianie mordów rewolucyjnych en bloc jest grzechem społecznym nie do darowania, historycy jednak grzeszą i pod tym względem. Należałoby przedewszystkiem wniknąć w pobudki moralne tych mordów, a wtedy zamiast podziwu zostałoby przerażenie. Przestępcy polityczni obecnych czasów, w rodzaju Ravachola Vaillanta, byli ludźmi nawskróś zepsutymi moralnie; temu spaczeniu duchowemu odpowiadało najzupełniej ich wykształcenie umysłowe, oparte wyłącznie na sofizmatach materyalizmu. Wprawdzie nie wszyscy ateusze i materyaliści są anarchistami, lecz za to wszyscy anarchiści są ateuszami i materyalistami, powiada Proal, Vaillant zeznał wprost, iż idee swe zaczerpnął z dzieł Büchnera i teoretyków ewolucyonizmu. Nic w tem dziwnego, bo doktryna materyalistyczna, zarzucona już dzisiaj w nauce, wciąż jeszcze wsiąka w umysł ludu za pomocą broszur agitacyjnych „dzienników“, zgromadzeń i tanich wydawnictw. Ravachol dowodził, że czyn jego był „koniecznością życia“ i że zabójstwa swe popełniał dla zadośćuczynienia potrzebom osobistym; winnem jest społeczeństwo, które nie pozwoliło mu zostać szczęśliwym i bogatym. Wszyscy wykolejeni, niedołężni, ambitni, którym się nie powiodło, oskarżają społeczeństwo: tak też czynią i anarchiści. Uskarżają się oni cynicznie, że nie osiągnęli w społeczeństwie szczęścia: szczęście zaś zawiera się dla nich w używaniu życia za jaką bądź cenę. Ubóstwo, a raczej niezamożność (bo w Europie każdy człowiek pracowity może łatwo wyjść ze stanu ubóstwa) jest dla nich rzeczą „wstrętną“ („abjecte“, jak je nazywa Darwin). Żądza używania prześladuje ich ciągle: napadają na religię i kodeksa praw za to, że nie sankcyonują cielesnej chuci; napadają na nauki moralne, które nie pozwalają składać hołdów osobistym zachciankom; odrzucają nawet samą ideę moralności, idąc za Nitzschem, który powiedział, że nie ma „nic głupszego nad pojęcie moralności“. Renan otwarcie przyznawał się, że woli masy niemoralne, niż sfanatyzowane przez wiarę. W następstwie tego pomiatania moralnością wytworzyły się dwie sfery: wyższa — ludzi „wykształconych“, cieszących się szczęściem, powodzeniem i życiem, i niższa — ludzi pragnących tego szczęścia i gotowych użyć wszystkich sposobów dla osiągnięcia celu. Młodzież, którą do anarchizmu doprowadziła teorya „walki o byt“, odznacza się wybujałym egoizmem i pełna jest nienawiści. Przyzwyczajona uważać ludzi za wyższy gatunek zwierzęcy. Wychowanie, pozbawione kierunku moralnego, nie uczy jej prawdziwej mądrości, nie daje poczucia sprawiedliwości; napawa ją jedynie pychą i żądzami. Filozofowie w rodzaju Renana pamiętać powinni, że niemoralność nie wyklucza fanatyzmu, czego dowodem są anarchiści; nie wyklucza go podobnież wiedza ścisła.

St. Hł.

(Dokończenie nastąpi.)

SPRAWY EKONOMICZNE.

Fakty z życia ekonomicznego.

(Notatki).

(Walki fabrykantów z robotnikami. — Statystyka strejków. — Kto zwycięża? — Sądy rozjemcze.)

Omawiając przed kilku miesiącami związki przedsiębiorców, wskazywaliśmy na wpływ, jaki te związki wywrzeć muszą na ukształtowanie się stosunków pomiędzy przedsiębiorcą a najmitą. Podajemy więc dziś czytelnikom wiązankę faktów potwierdzających wspomniany wniosek.

W Anglii fabrykacya obuwia jest dziś gałęzią wielkiego przemysłu, zatrudniającą około 50,000 robotników. Robotnicy ci tworzą stowarzyszenie; przedsiębiorcy również połączyli się, tworząc „Fedcrated Association“ fabrykantów obuwia. W marcu roku bieżącego robotnicy zagrozili strejkiem, domagając się wprowadzenia ogólnych norm przy obliczaniu zarobków. Fabrykanci bowiem zmieniali system płacy akordowej na dniową i odwrotnie, stosownie do stanu wyniku, płacąc akord wówczas, kiedy popyt wzrastał, dniówkę przy złym stanie interesów, zatrudniając robotników tylko w miarę potrzeby i obniżając płacę. Na to żądanie przedsiębiorcy odpowiedzieli wielkim „loekout“, to jest zawieszeniem pracy we wszystkich fabrykach, które zapisane były do stowarzyszenia, bezwzględnie, czy robotnicy tam mieli zamiar sztrejkować czy nie. W ten sposób 16 marca 46,000 robotników, pomiędzy nimi 17,000 kobiet i dzieci, zostało bez zajęcia. Licząc więc, że z mężczyzn 20,000 ma rodzinę i licząc po 4 osoby na rodzinę (co jest mało nawet na stosunki angielskie), otrzymamy minimum 100,000 ludzi pozbawionych zarobku. Sekretarz „biura pracy“ zwołał delegatów obu stron na posiedzenie w celu układów. Robotnicy zażądali zagwarantowania płacy minimalnej 26 szylingów tygodniowo; przedsiębiorcy chcieli zgodzić się tylko na płacę minimalną określoną dla każdej miejscowości. Po długich debatach przyjęto powyższą normę i zaprowadzono sądy rozjemcze co do systemu akordowego. Każda ze stron złożyła 1000 funtów szterlingów kaucyi, że umowy dotrzyma i w końcu kwietnia pracę rozpoczęto na nowo. Jest to więc zawieszenie broni zawarte pomiędzy dwoma przeciwnikami o równej sile, zawieszenie broni a nie pokój ostateczny, gdyż prawie na pewno przewidzieć można, że drobiazgowo określony akt ugody zostanie przez tę lub ową stronę naruszony, co pociągnie za sobą nowe zatargi.

O ile w danym wypadku przedsiębiorcy znaleźli się wobec silnej organizacyi, składającej się z ludzi względnie wyćwiczonych w karności trade unionów i zasobnej w fundusze znaczne, o tyle w innym wypadku, jaki mamy do zaznaczenia, można było prawie na pewno powiedzieć, na czyją stronę przechyli się zwycięztwo.

W Grenchen, miejscowości słynnej z wyrobu zegarków, położonej na południowym stoku Jura w kantonie Solothurn, robotnicy jednej z fabryk zastrejkowali z powodu, że nie dotrzymano im warunków, na jakie przedsiębiorca zgodził się dla ukończenia zeszłorocznego zatargu. Wówczas stowarzyszenie przedsiębiorców „Vereinigte Ebauches-Fabrikanten von Grenchen und Umgebung“, obejmujące 5 fabryk, wypowiedziało robotę za dni 14 wszystkim zatrudnionym w tych fabrykach. Urzędowa interwencya inspektora fabrycznego nie zdołała przełamać uporu przedsiębiorców, którzy oświadczyli, że z żadną organizacyą robotniczą w układy wchodzić nie będą.

---

ojca Iwańskiego. Zabawny chłop ten Iwański. Mówi, że nie czuje najmniejszej ochoty grzebać w trupach, dla tego poświęca się prawu. A jednak, jestże piękniejsza nauka, jak nauka medycyny? Można być ludziom pożyteczny, a przytem mieć dobre dochody. Lepszego zajęcia na świecie nie znajdziesz.

Potem marzył, jak się urządzi po ukończeniu studyi.

— Biednych będzie leczył bezpłatnie, odwiedzać ich będzie w ich wilgotnych mieszkaniach, pocieszać; od bogatych zażąda zapłaty. Ojciec będzie mógł porzucić swój urząd w kancelaryi i na starość wypocząć.

Własow pomyślał o mieście rodzinnem i o rodzinie. Myślą pobiegł do skromnego mieszkania rodziców do S., przejęła go wielka tęsknota za swoimi, chciałby ich uściskać, ujrzeć, porozmawiać z nimi. Wyraźnie zarysowała mu się postać matki: chuda, smukła kobieta, z wyrazem oka lękliwym, czystym, z wyschłemi rękoma. Kochał ją bardzo.

— Gdy skończę studya — myślał Własow rozrzewniony — urządzę i dom wygodnie. Pieniędzy huk zarobię, bo oprócz praktyki przyjmę jeszcze jaką kasę; na niczem nam nie będzie zbywało, jak to się teraz zdarza, że nie mogliśmy nawet szkolnego za siostrę zapłacić.

Uśmiechał się do siebie uszczęśliwiony, zatapiając się całkiem w marzeniach i nadziejach. Był tak świetnie dzisiaj usposobiony, jak nigdy.

— Jaki piękny, jaki śliczny ten świat! — powtarzał nieustannie, a tak był szczęśliwy, że radby wszystkich do serca przycisnąć, cały świat: swoich, Iwańskiego, profesorów, uniwersytet i naukę.

Opanowała go nagle ochota wywijać nogami, albo spłatać jakiego figla. Zaśmiał się nad swą zachcianką i leżał dalej spokojnie. Śmiech jego rozbudził Iwańskiego; przewrócił się w łóżku zaspany. Własow sądził, iż przyjaciel jego teraz wstanie, lecz gdy spostrzegł, że czarna jego głowa zanurzyła się pod płaszczem, zatopił się znowu w swych myślach. Spoglądał na trupią głowę na stole pod oknem, na nowo zakupione książki, radował się niemi niezmiernie. Przypomniały mu rzeczywistość i wskazały mu, że wszystkie jego myśli o rzeczywistości nie były czczemi marami, lecz zaczęły się urzeczywistniać.

Tam anatomia Sernowa, fizyka Herasa, chemia Kolbego, pod stołem leżą kości szkieletu, wydającego właściwą woń... tam na gwoździu wisi część kości pacierzowej, podobna do rzędu małych kółek. To wszystko nie fantazya, lecz rzeczywistość, podstawa przyszłej jego wiedzy i sławy. Własow począł rozmyślać nad wszystkiemi łacińskiemi nazwami pojedyńczych części czaszki. Wszystkie wiedział na pamięć, to go jeszcze lepiej usposobiło.

Opanowała go taka wesołość, że nie mógł się oprzeć powtórnej pokusie wywijania nogami w powietrzu. Zgiął kolana pod kołdrą i na piętach podniósł ją wysoko nad głowę. Naraz przypomniała mu się, nie wiedział sam dla czego, rzewna piosenka: „Czemu smutny w myślach tonę?“ Piosenkę tę śpiewały jego siostry w domu; rozłożył się znowu i śpiewał ją cicho, z przejęciem.

Tymczasem rozjaśniło się w pokoju. Słońce wyżej się podniosło i rzuciło swe blaski na okładki książek i czaszkę, wszystko błyszczało jak upolerowane. Czas wstawać. Dzień będzie zajmujący, pełen wrażeń, — wstanie więc i obudzi kolegę.

Nagle spostrzegł list od matki, który niedawno temu otrzymał, chciał go jeszcze raz przeczytać, po raz trzeci. Sięgnął po list, wydobył cieńkie kartki papieru i począł rozczytywać się w piśmie. W liście opisane było całe ich życie domowe. Potem następowały rozmaite matczyne obawy. Własow znał to wszystko na pamięć, lecz sprawiało mu przyjemność przenieść się myślą do swoich.

Wszystko tam jeszcze jak dawniej, wszyscy go kochają jak dawniej i często o nim myślą. Matka ciągle go uważa za zdolnego chłopca i żywi nadzieję, że wyrośnie z niego człowiek niezwykły. Co dzień modli się za niego i prawie o nim tylko myśli. Ojciec wierzy także w jego siły umysłowe.

Wówczas robotnicy, nie czekając terminu 14 dniowego, porzucili pracę, oświadczając, że uważają postępowanie fabrykantów za zamach na prawo koalicyi, zagwarantowane w konstytucyi. 454 ludzi żonatych, mających razem 767 dzieci, i 361 nieżonatych pozostało tym sposobem bez zajęcia. Robotnicy, będący członkami gminy, zwołali zebranie gminne, na którem uchwalono wydawać z kasy gminnej 500 franków tygodniowo na wyżywienie strejkujących niezamożnych. Zarazem przyjęto wniosek, że gmina postara się o założenie fabryki zegarków na swój rachunek. Po długim, siedmiotygodniowym uporze zgodzono się w końcu obustronnie na sąd rozjemczy, który zawyrokował, że fabryka, która dała powód do zatargu, musi spełnić dawniejsze swoje przyrzeczenia. Robotnicy jednakże ponieśli porażkę, gdyż fabrykanci formalnie oświadczyli, że należenie do związku robotniczego nie będzie powodem do wydalenia. jednakże zastrzegli, że przyjmą robotników tylko w miarę potrzeby, a potem z powodu stagnacyi w interesach nie przyjęli kilkuset. Co do założenia fabryki kosztem gminy okazało się, że majątek gminy pozwala na wydatek zaledwie 20,000 fr., potrzeba zaś kapitału 100,000 fr. Postanowiono tedy założyć towarzystwo akcyjne, w którem gmina weźmie udział i zastrzeże warunki możliwie korzystne dla robotników. Dotąd jednakże projektu nie urzeczywistniono. Widzimy więc, że pięciu przedsiębiorców złączonych może teroryzować całą gminą, jeżeli natrafi na organizacyę słabą. I oto w kraju demokratycznym, gdzie gmina ma rzeczywiście daleko idące kompetencye, a cóż dopiero, jeżeli, jak zwykle bywa, władze stają arbitralnie po stronie przedsiębiorców, uważając robotników za „buntującą kanalię".

Dwa analogiczne wypadki jeszcze zanotujemy: w Kottbus robotnicy pewnej tkalni zawiesili robotę. Stowarzyszenie przedsiębiorców „Verein zur Wahrung der gemeinsamen Interessen der Tuchfabrikanten von Kottbus" postanowiło zaprzestać robót we wszystkich fabrykach. Robotnicy ustąpili.

W Jutlandyi w Aarchus fabrykanci zawiesili „lock out" przeciwko wszystkim robotnikom. Powodem było, że fabrykanci żądali, aby każdy czeladnik, starający się o robotę, legitymował się kartką od swego dawniejszego pracodawcy, w czem robotnicy nie bez słuszności widzieli środek prześladowania ludzi, którzy odznaczą się udziałem w ruchu robotniczym. Po zaciętej walce, trwającej 10 tygodni, fabrykanci zmuszeni byli ustąpić.

Widzimy więc, że „lock out" robi szkołę i staje się międzynarodowym. Może się to przyczynić do zaostrzenia walki. Na przyszłość należy się spodziewać zatem strejków co raz mniej, ale co raz ogromniejszych rozmiarów.

Liczba strejków za rok ubiegły w Anglii i Francyi tak się przedstawia. W Anglii było ogółem 926 strejków, które dotknęły 306,000 robotników; z liczby robotników 17,4 procent odniosło zupełne zwycięztwo, 30,8 proc. częściowe, 51,8 porażkę. — W Francyi ogółem strejków 391, z udziałem 126,000 robotników. Co do rezultatów, zwycięztwo zupełne odnieśli robotnicy 24,3 proc., częściowe 47,5 proc., porażkę 28,2 proc. Licząc na każdy strejk przeciętnie 20 dni, przy przeciętnym zarobku 5 mr. (cyfra upoważniona, ze względu na wysokie płace robotników w Anglii, gdzie ceny wogóle są wyższe niż na kontynencie) to otrzymamy sumę 43,200,000 marek, którą w przybliżeniu tracą robotnicy tych dwóch krajów wskutek strejku. Straty poniesione przez fabrykantów nie dają się obliczyć, ale możemy je śmiało przyjąć na 60 milionów. Tak więc na zatargach gospodarstwo społeczne tych dwu krajów ponosi szkody 100 milionów marek. Przyczem cyfry nasze są raczej nizkie. Czy można znaleźć środki dla zapobieżenia tym „fałszywym kosztom", jakie ponosimy przy gospodarce wielkokapitalistycznej bez zmian zasadniczych tejże gospodarki? Próby robione z sądami rozjemczemi wydały rezultaty pomyślniejsze tylko w Szwajcaryi, kiedy ludność przywykła do parlamentaryzmu i jak najszerszego samorządu. W Niemczech spodziewano się wiele w tym kierunku po instytucyi sądów przemysłowych (Gewerbegerichte); nadzieje te jednakże zawiodły, jakkolwiek w sporach pomiędzy oddzielnym robotnikiem i przedsiębiorcą te sądy złożone z robotników i przedsiębiorców, ferujące wyroki szybko i ze znajomością rzeczy bardzo pomyślne wydały rezultaty. W Anglii i we Francyi są w użyciu sądy polubowne, w których przyjmują udział urzędy. Jednakże ogólną jest skarga. że przedsiębiorcy rzadko zgadzają się na taki sąd. Słowem na dziś nie widzimy możności okiełznania tej walki zaciętej, gdzie właściwie nie o sprawiedliwość chodzi, lecz o potęgę.

J. B. M.



SYLWETKI SZLĄSKIE.

II.

Adam Napieralski.

Odwiedziny Górnoszlązaków w Poznaniu wzbudziły w szerszych kołach społeczeństwa naszego większe zainteresowanie dla tej przez tyle wieków zapomnianej polskiej dzielnicy. Żywem odbiciem zainteresowania tego jest nasza prasa codzienna, która z godną uznania skwapliwością notuje teraz wszelkie ważniejsze objawy i wypadki z ruchu polskiego na Szląsku lub też powtarza głosy polskiej prasy tamtejszej. Zwrot to bardzo pomyślny, oby tylko, jak tyle innych pomyślnych u nas ewolucyi, — nie utonął zbyt rychło w obojętności i kwietyźmie społeczeństwa naszego. Trudno! im większy i groźniejszy nacisk ze strony przeciwnej, tem cięższy spada na nas obowiązek mnożenia siły odpornej. A czyż mamy jej już tyle, że obyć się możemy bez pomocy, bez współudziału miliona przeszło wiernego polskiego ludu? Kwestya szląska dojrzała dziś już do tego stopnia, że rozwiązanie jej musi z konieczności rzeczy nastąpić rychło, jeżeli chcemy uniknąć przykrych i bolesnych strat w przyszłości. To też czas najwyższy poświęcić jej najbaczniejszą uwagę. Społeczeństwo wielkopolskie, jako najbliższe Szląska z całej dawnej Polski ma święty obowiązek przygarnąć Szlązaków do siebie. Krok pierwszy już uczyniony, — obyśmy z dalszemi nie zwlekali zbyt długo. Obowiązkiem prasy jest zaś szerzyć i umacniać to rozbudzone zainteresowanie dla Szląska coraz bardziej, a przedewszystkiem zapoznawać społeczeństwo wielkopolskie z stósunkami, panującemi na Szląsku. Nie dosyć atoli poznać stosunki bratniej dzielnicy, — trzeba poznać i wybitniejszych ludzi tamże działających, bo i to do nawiązania bliższych stosunków koniecznie jest potrzebne. Z szczerą też chęcią stosujemy się do życzenia Szan. Redakcyi „Przeglądu" i w dalszych sylwetkach zapoznamy Czytelników z przywódzcami i obrońcami ludu polskiego na Szląsku.

— Pokażę wam, że wypłynę — mówi Własow, kończąc list i składając go ostrożnie w kopertę — choćbym nie wiem jak miał pracować, będę tęgim lekarzem i dobrym człowiekiem, a może sławnym.

Przeląkł się swojej zarozumiałości i przerwał wątek myśli. Podniósł się w łóżku i zaczął przypatrywać się swej silnej dłoni i różowym paznogciom. Potem potarł rękoma policzki. Przyjemnie mu było czuć się silnym i zdrowym. Wyprężył muszkuły prawego ramienia i obmacał je.

— Ujdzie. dla mnie starczy, — pomyślał pełen zadowolenia, naciskając lewą dłonią na wypukły i twardy jak kamień muszkuł, — nie potrzebuję silniejszych.

— Wasylu Wasilewiczu, Wasiu! — wrzasnął nagle pełną piersią i odrzucił nogami kołdrę, aż daleko odleciała: Wstawajże, czas! Długi Iwański przewrócił się w łóżku, aż zatrzeszczało pod jego ciężarem. Powoli wydobył rękę muskularną, kosmatą z pod płaszcza, a zwracając się do Własowa, otworzył leniwo zaspane oczy. Duże jego oblicze z kozią bródką, długim nosem i w dół opuszczającemi się kątami ust przybrało więcej niż zwykle wyraz rozczarowania i zadumy.

— Czego sobie życzysz? — zapytał niechętnie ochrypłym basowym głosem. — Czego wrzeszczysz jak opętany?

— Wstawaj, braciszku, wstawaj, — odpowiada Własow śmiejąc się. — Wiesz przecież: dzisiaj galówka: święto Tatjany!

— Cóż mnie to obchodzi, — mruczy Iwański, — do dyabła! jak tu zimno! Przymknął oczy chcąc usnąć. Przekonał się jednak, że już był wyspany, odchrząknął głośno i podniósł się na łóżku, poduszkę podsuwając pod plecy.

— Bądź tak łaskaw kochanku — odzywa się uprzejmie do Własowa, — podaj mi moje papierosy, są tam na stole obok ciebie.

Iwański zapala papierosa i zaciąga się silnie, potem spogląda na Własowa, mówiąc:

— Więc to dzisiaj Tatjany, — przecież doczekałeś się tego dnia. Co?

— Tak — odpowiada Własow.

— Bardzo zajmujący dzień, bardzo, braciszku — mówi Iwański, łypiąc oczyma i gładząc obydwoma rękami swoją długą brodę — doznasz w nim rozmaitych wrażeń. Przedewszystkiem równość ogólna panuje, a to najładniejsze.

Chwilę Iwański milczał. Potem namyślił się i ciągnął dalej:

— Wieczorem zazwyczaj bywa wesoło poza miastem. Tam każdy pokazuje się, jak go Bóg stworzył, szczerze, otwarcie, a co za ochota do mówek, pysznie! Pamiętam, jak w przeszłym roku Sewako — wiesz przecież, ten sławny Sewako — stanął na galeryi wodotrysku i palił do studentów mówkę. Pali, pali, naraz bęc, leży w wodzie pomiędzy pstrągami; znakomicie. Jakiś kolega wyłowił go ztamtąd, inaczej byłby biedak utonął, gdyż ledwo stał na nogach. Postraszył wszystkie ryby...

Iwański mówił wolno, a chociaż się uśmiechał, na twarzy jego widniał stale wyraz tęsknej zadumy. Własow rozweselony przysłuchiwał się. Wiedział, że Iwański przesadza jak zawsze, lecz pozwolił mu opowiadać.

— Potem, gdy się wygramolił — mówi Iwański dalej — trząsł się, mokry jak mysz, usiadł przy stole i zewsząd przynoszono mu szampana. Wszyscy chcieli pomódz mu przebrać się, lecz on siedział milczący i apatyczny, patrzał na nas, naraz zaczął szlochać — okropne to było — żałowaliśmy go wszyscy.

Iwański spoważniał.

— Czy to wszystko prawda? — zapytał Własow mimowoli.

— Nie inaczej, braciszku — byłem temu obecny. Przykre wrażenie wyniosłem. No, nie zawsze się tak dzieje. Wiele tam dobrego w tem wszystkiem. Mianowicie swoboda... Wieczorem trzeba przejechać się na przedmieście, aby się temu przypatrzeć — dodał Iwański po małej przerwie. A ty? co dzisiaj zamierzasz uczynić?

— Postanowiłem — odpowiada Własow — po uroczystości ucztować na Moskiewskiej, lecz mało pić. Wieczorem pójdę do teatru, kupiłem już bilet, a potem spać.

— Tak, mówi krótko Iwański, zaciąga się z papierosa i milknie.

II.

Iwański był kilka lat starszy od Własowa i uczęszczał na uniwersytet dawniej niż on. Mieszkali razem, ponieważ pochodzili z jednego miasta, znali się od małych dzieci i razem uczęszczali do szkół. Wspólne mieszkanie mniej kosztowało i jakoś weselej im było.

Własowa rodzice cieszyli się, że mieszkał z Iwańskim, którego znali przynajmniej. Wprawdzie nie dowierzali mu bardzo, bo uważali go za lekkomyślnego i dosyć ograniczonego człowieka, nie obawiali się jednak, aby Iwański, który birbantkę lubił, mógł syna ich wywieść na złe drogi. Iwański przyrzekł im to przy-

W pierwszej sylwetce staraliśmy się skreślić o ile możności dokładny obraz osoby i działalności zacnego redaktora „Gazety Opolskiej“, dziś damy sylwetkę Adama Napieralskiego, naczelnego redaktora „Katolika“. A że w tym wypadku „Katolik“ nie jest dziełem redaktora ani jego prywatną własnością, lecz posiada tradycyą i istnieje w okolicznościach, z któremi redaktor liczyć się musi, przeto w zakres szkicu naszego wciągnąć musimy i charakterystykę pisma.

Co prawda, to korespondent „Przeglądu“, pan „Chim.“, część zadania tego zdjął nam już z głowy, ponieważ w ostatniej swej korespondencyi dosyć trafnie scharakteryzował „Katolika“, jakim jest dzisiaj. Niestety „Katolik“ zawsze był takim.

Pismo to założone zostało w r. 1867 przez Józefa Chociszewskiego w Chełmnie, w Prusach Zachodnich. W r. 1869 nabył je Karol Miarka, który, krótko przedtem złożył był redakcyą „Zwiastuna“, i przeniósł je na Górny Szląsk. Środków materyalnych dostarczył mu w tym celu ś. p. Mieczysław Łyskowski. Z początku zanosiło się na to, że „Katolik“ będzie pismem na wskroś polskiem, ale walka kulturna rozwiała te nadzieje. Miarka, walcząc bezustannie z niedoborem, oddał pismo na usługi niemieckiego centrum, a w zamian pobierał znaczne subwencye, mianowicie od ekskanonika ks. Franza i hr. Ballestrema, a nadto doznawał poparcia ze strony całego duchowieństwa. Dzięki poparciu temu „Katolik“ rozszerzył się po całym Górnym Szląsku, ale stał się po polsku drukowanem pismem centrowem; spraw polskich dotykał tylko o tyle, o ile na to pozwalały zasady stronnictwa centrum. W roku 1880 nabył go od zawikłanego w procesa Miarki ks. Radziejewski, o ile nam wiadomo za 6 czy 7 tysięcy marek. (Pismo liczyło już wówczas siedm tysięcy abonentów.) Ale i nowy właściciel nie zmienił tendencyi pisma, chyba o tyle, że większy nacisk kładł odtąd na sprawy socyalne. Dopóki ks. Radziejewski redagował „Katolika“, odznaczał on się przynajmniej czystością języka polskiego, ale gdy ks. biskupowi Koppowi powiodło się ks. Radziejewskiego ze Szląska usunąć, gdy redakcya dostała się w ręce młodych kleryków szląskich, jak Hytrek i Duszela, którzy sami należycie językiem polskim nie władali, i ta zaleta „Katolika“ zupełnie zaprzepaszczoną została. Mimo to, — ponieważ nie było konkurencyi niebezpieczniejszej, — „Katolik“ materyalnie stał bardzo dobrze, jednakże wpływ jego zaczął coraz bardziej upadać. Strawa, podawana przez „Katolika“, nie odpowiadała już inteligentniejszym kołom czytelników, — to też te właśnie koła powitały z wielką radością założone w owym czasie, — w r. 1889 — „Nowiny Raciborskie“.

W takiej chwili, — było to na początku wymienionego roku, — objął redakcyę „Katolika“, Adam Napieralski. Pochodzi on z Księstwa, lecz przez dłuższy czas pracował na Warmii, a później był redaktorem „Pielgrzyma“ w Pelplinie. Nowy redaktor, człowiek młody, zdolny i bystry, objął jednym rzutem oka całą sytuacyę i nietylko zapobiegł możliwemu przy dalszej niedołężnej redakcyi upadkowi pisma, ale podniósł je do niebywałego w dziejach polskiej prasy ludowej rozwoju. „Katolik“ liczy dziś przeszło 15 tysięcy abonentów i wywiera decydujący wpływ na wszystkie sprawy szląskie, stał się jednem słowem potęgą, z którą liczyć się muszą wszyscy.

Niestety, nie możemy powiedzieć, iżby wpływ ten był pod każdym względem dodatni. „Katolik“ dziś jeszcze stoi zupełnie na gruncie centrowym i sam się uważa za polskie pismo centrowe. O ile to jest wynikiem osobistych zapatrywań wydawców, ks. Radziejewskiego i siostry jego, panny Radziejewskiej, a o ile redaktora, trudno dociec na razie. Zdaje się jednakże, że co do tego panuje między wydawcami a redaktorem najzupełniejsza jednomyślność. Adam Napieralski należy do tych polityków, którzy za mało wiary mają w własne i ludu siły i obawiają się wszelkiego, choćby najmniejszego ryzyka. To też jest on przeciwnikiem otwartej akcyi stanowczej i woli iść do celu układami lub krytemi manewrami, jakkolwiek krok za krokiem o ich bezskuteczności się przekonuje. W programie jego pierwsze miejsce po sprawach kościoła zajmują sprawy socyalne, a trzecie dopiero sprawa polska, którą też „Katolik“ traktuje nieraz zupełnie po macoszemu. Niedawne to jeszcze czasy, że „Katolik“ nie nazywał Szlązaków Polakami, tylko „Szlązakami polskiego języka“. A że dziś trochę śmielej i uczciwiej co do tego postępuje, to nie jego zasługa, tylko zasługa ludu, który go zmusił do przyznania mu narodowości polskiej. Smutne to, ale prawdziwe. Sprawy polskie traktuje „Katolik“ mimo to po dziś dzień przez rękawiczkę, — obawia się po prostu draźnić centrum. Inteligentniejsze żywioły ludu pragną iść naprzód; „Katolik“ zaś, mogąc dzięki swej materyalnej potędze i ogromnemu zastępowi abonentów od razu zmienić sytuacyę i jednym zamachem przeprowadzić emancypacyę ludu polskiego z pod panowania centrum, nietylko nie czyni tego, ale jeszcze psuje i tamuje pracę dwóch innych pism polskich, „Gazety Opolskiej“ i „Nowin Raciborskich“.

Z większą daleko otwartością i stanowczością Adam Napieralski, jak już to powiedzieliśmy, traktuje sprawy społeczne. Że dotychczas socyalna demokracya w tych stronach nie poczyniła znaczniejszych postępów, że mimo 100,000 robotników fabrycznych, pracujących w górnoszląskim okręgu przemysłowym, liczba głosów socyalistycznych przy wyborach dochodzi ledwie do kilkuset, to jego głównie dzieło. Aż do strejku w r. 1889 „Katolik“ sprawami robotniczemi mało się zajmował. Napieralski poznał od razu, że źle być może, jeźli robotnicy w walce z kapitałem od swych organów naprożno spodziewać się będą pomocy. Zaczął więc obok „Katolika“ wydawać socyalny organ dla robotników „Praca“, który liczy dziś do 7000 abonentów i jest znakomicie redagowany. O ile w sprawie polskiej Napieralski nie idzie dalej, jak na to program centrowy pozwala, o tyle w sprawie socyalnej i robotniczej licytuje formalnie o lepsze z socyalistami, zaakceptowawszy znaczną część ich postulatów, jak n. p. ośmiogodzinną dniówkę i jak najrozleglejszy samorząd w instytucyach dla dobra robotników założonych. Licytacya ta rozciąga się atoli także na pieprzne przycinki i wymyślania na chlebodawców i rzeczywiście w oczach naszych powag konserwatywnych, gdyby im przypadkowo jaki numer „Prasy“ dostać się miał do ręki — mówię przypadkowo, gdyż nie interesują się one Szląskiem wcale — „Praca“ posiadałaby wszelkie znamiona organu socyalno-demokratycznego. Sprawiła ona wprawdzie to, że robotnicy, mając własny taki organ, odpychają podawaną im za darmo „Gazetę robotniczą“. Czy atoli na długo jeszcze zdoła utrzymać wpływ dominujący, to rzecz inna, nawet wątpliwa. „Praca“ jest bądź co bądź pismem katolickiem, a jako takie ma pewne granice, poza które wyjść jej nie wolno, więc ostatecznie jednak przez „Gazetę robotniczą“ przelicytowana być może, która już w kokietowaniu czułych ma takie umizgi robotników, żadnemi niekrępowana jest względami. Rząd śledzi pilnie „Pracę“ i niejednokrotnie już spotykały ją z ław ministeryalnych zarzuty szerzenia socyalizmu. Takie samo stanowisko we wszystkich dziedzinach życia społecznego, mianowicie w sprawie agrarnej, zajmuje „Katolik“, chyba z tą różnicą, że w wyrażeniach więcej jest umiarkowanym.

Oprócz tych dwóch pism redaguje Napieralski jeszcze trzecie: beletrystyczne i ilustrowane pismo dla ludu „Światło“, bardziej polskie niż poprzednie, które atoli nie zdobyło sobie dotychczas wyrobić znaczniejszego zastępu czytelników.

Adam Napieralski jest istotnie zdolnym pisarzem ludowym. Posiada on mianowicie nadzwyczajną łatwość popularyzowania zawiłych kwestyi prawnych i w dzisiejszych czasach prawodawstwa dla robotników jest jakby stworzony na redaktora pisma robotniczego.

Położył on także niemałe zasługi na polu pracy organicznej. Założył wraz z Korzeszewskim ów wspomniany już w przeszłej sylwetce „Związek wzajemnej pomocy dla robotników“, dalej znaczną ilość parafialnych towarzystw robotniczych. Wychodząc z zasady, że emancypacya ludu nastąpić może tylko wtedy, jeżeli stworzy się silną podstawę materyalną, utworzył dalej towarzystwo kupców, którego celem jest wyswobodzenie mniejszych kupców („chrześciańskich“ — nie polskich), z pod przewagi żydowskich grosistów, wreszcie bank pożyczkowy. Ale wszystkie te towarzystwa nie prosperują tak, jakby prosperować powinny, bo nie mają one wybitnego charakteru polskiego, i dla tego między ludnością polską, dla której są przeznaczone, nie mogą zdobyć sobie należytego poparcia. Nie przeczymy, iż takie przedsiębiorstwa opierać się muszą głównie na realnej podstawie, ale zdaniem naszem właśnie

---

wyjeździe do Moskwy, prosili go też, żeby synem się zaopiekował i w razie potrzeby był mu pomocnym. Iwański rzeczywiście zachował się wobec kolegi wzorowo, nawet czule. Troskał się o niego, a gdy spostrzegł smutek kolegi, pytał o przyczynę. Na pijatyki go nie wyprowadzał, przeciwnie, sam poprzestał włóczęgi po knajpach, pozbył się dawnych nałogów, prowadził się przyzwoicie przez całą jesień, siedział więcej w domu i czytał dużo. Raz jeden tylko przehulał całą noc, powrócił do domu zły i zgryziony; tem większą skruchę uczuł dnia następnego i przysiągł Własowowi, że więcej już pić nie będzie. Przeprosił go za wszystkie grubiaństwa, któremi go bez powodu obrażał i od dnia tego jeszcze stał się poważniejszym.

Własow wcale pojąć nie mógł nagłej u niego zmiany. Nie przyszło mu nigdy na myśl, że to jego był wpływ. Wiedział, że Iwański u wszystkich kolegów z dawniejszych lat uchodził za szalonego hulakę, a teraz zupełnie się zmienił. Własow ucieszony był zmianą i przywiązał się jeszcze więcej do Iwańskiego. Spędzali czas bardzo pożytecznie. Iwański pracował pilnie i czytywał dużo, Własow bywał na prelekcyach i przesiadywał całemi godzinami w bibliotekach i anatomicznych muzeach. W domu nad niejednem dysputowali, przypominali sobie życie w S. i zabawiali się przy samowarze; Iwański wypijał go do ostatniej kropelki. A jednak nierówny był ich do siebie stosunek; wypływało to z nierównego wieku i z różnic charakteru. Iwański, był zamknięty w sobie, niechętnie mówił o sobie i był wogóle małomówny. Własow zato był otwarty i nic milszego nie było dla niego, jak wynurzać się przed przyjacielem. Iwański miał 25 lat, Własow 18. Iwański był człowiekiem zupełnie dorosłym, który dużo przeżył i wszystkiego użył, wyglądał też nad swój wiek; Własow przy nim wydawał się młodzieniaszkiem. Iwański od dawna znał kobiety i przesycił się niemi, jak sam przyznawał. Własow wystrzegał się nawet myśli o nich i omijał wszelkie sposobności do pokusy, dla tego nie odwiedzał wcale kolegów, którzy mu byli podejrzani w tym względzie i unikał pijatyk.

Było mu z tem dobrze, życie wydawało mu się wesołe, obawiał się zepsuć piękny ten nastrój. Gdy go zmysłowe chęci opanowały, przytłumiał je, starając się myśl zwrócić na inny przedmiot. Dotąd udawało mu się to z łatwością.

Iwański leżał dalej w łóżku, paląc papierosa. Myślał o Własowie i o czasach, w których w wieku jego chodził do gimnazyum. On wtenczas także był jeszcze niewinny i żal mu było tych lat.

Co się z nim stało w ciągu lat ostatnich! Co za bajeczna różnica. Wesołość i swoboda zaginęły. Przed nim otwierała się drogą życia ciemna, nudna. Karyera jurysty, życie monotonne, bez widoków polepszenia; Iwański posmutniał, kąty ust obwisły mu jeszcze więcej:

— Na cóż ja to wszystko czytam od rana do wieczora? — pomyślał, rzucając niechętne spojrzenia na książki przed nim leżące, — kuję, jak to zwykle mówią, uczę się na pamięć; na co to? Smutno!

Iwański pomyślał o zeszłorocznej uroczystości Tatjany.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

w stosunkach takich, jakie panują na Górnym Szląsku, niebyłoby zgubnem, gdyby nadano im otwarcie trochę idealniejszy kierunek i cel. Zanim z tak niewyraźnych pod względem narodowym instytucyi zejdzie dla ludu górnoszląskiego słońce zbawienia, łatwo rosa germanizacyi oczy wyjeść może.

Bardzo też niewyraźne stanowisko zajął Adam Napieralski w sprawie założenia Tow. Pomocy Naukowej. Ulegał on zanadto wpływom księdza Engla, — który pod względem narodowym, jak się okazało, wcale na takie zaufanie nie zasłużył – i za jego radą stworzył zamiast zamierzonego „Towarzystwa Pomocy Naukowej“, jakiś komitet, o którego działalności publiczność nic zgoła nie wie. Prawdą jest, że za jego radą właścicielka „Katolika“ dała na Pomoc Naukową 10,000 marek i on sam zasilał fundusze komitetu znacznemi jak na swe dochody datkami, — cóż, kiedy ta pomoc jest właśnie tylko środkiem reklamy dla „Katolika“, gdyż tylko synowie czytelników „Katolika“ uwzględniani bywają. Niewyraźne stanowisko, jakie Napieralski zajął w tej sprawie, ten wydało skutek, że w Raciborzu założono inne Towarzystwo Pomocy Naukowej, które atoli zwalczane przez „Katolika“ z niewiadomych, zdaje się czysto osobistych powodów, także należycie rozwinąć się nie może. W ten sposób ważna ta sprawa sprowadzoną została na wręcz fałszywe tory i długo pewnie jeszcze pod skutkami scysyi wytworzonej laborować będzie.

Jakkolwiek, mimo nadwątlonego zdrowia Adam Napieralski rozporządza znaczną siłą pracy, jakkolwiek siłę tę zużywa sumiennie dla spraw publicznych, jakkolwiek nie braknie mu przenikliwości i energii, nie cieszy się on taką popularnością, jaką posiada Koraszewski, ani też takiemi wpływami osobistemi. Braknie mu ot tego zapału, jakim odznacza się Koraszewski, a który porywa i entuzyazmuje. A właśnie w zmateryalizowanem na wskroś społeczeństwie polskiem na Górnym Szląsku potrzebną jest dla normalnego rozwoju spora doza idealizmu. Zawsze chłodny, rozważny kunktator prawdziwy, może Napieralski być dobrym obrońcą ludu, ale nigdy nie przywódzcą. Ufa on jeszcze zanadto duchowieństwu szląskiemu i stronnictwu centrum, i dla pięknych oczu duchowieństwa tego tłumi niekiedy wręcz wszelkie idealniejsze narodowe porywy ludu. Tak n. p. był przeciwnym wycieczce do Poznania, tak n. p. dziś występuje przeciw wyborowi pana Huenego nietyle dla tego, że pan ten jest Niemcem, że Polakom należy się polski poseł, ale tylko ze względu na to, że to wielki pan, a więc ze względów czysto socyalnych. Czy polityka taka wyda dobre owoce, czy obrachunki p. Adama Napieralskiego nie zawiodą tak, jak zawiodły nadzieje ugodowców naszych, to najbliższa przyszłość pokaże. Oby tylko mylne te naszem zdaniem obrachunki, ludowi polskiemu na Szląsku zbyt wielkiej nie wyrządziły szkody.

?

Ciche tragedye nad Newą.

Petersburg w wrześniu

Statystyczne dane wykazują, że ze wszystkich głównych narodów europejskich, Rosyanie mają najsłabszy popęd do samobójstwa. Ponieważ pomiędzy narodowością rosyjską a religią prawosławną zachodzi współrzędność w szerokim zakresie, a więc najmniejszą równolegle ilość samobójstw śród prawosławnych, niektórzy prawowierni statystycy rosyjscy przypisują wpływowi religii. Inne przypuszczenie — wpływ warunków ekonomicznych, — nie było dotąd podtrzymywane na seryo przez żadnego z teoretyków. W charakterze ludu rosyjskiego, którego duszą zachwycają się takiej miary pisarze, jak Tołstoj i Dostojewski, uderzają dwie cechy: znaczna doza dobroduszności, której śladu nie znajdziesz w hardym chłopie niemieckim, doskonale obliczającym perspektywę przyszłych zysków, albo francuzkim, umiejącym leniwie marzyć o pewnym komforcie i samorodnej estetyce, lub wreszcie w robotniku angielskim, z ponurą energią domagającym się pewnej określonej „stopy życiowej“; oraz druga cecha — dziwna u prostego ludu filozofia życiowa, wyrażająca się w tem, że wszystkie interesy materyalne uważane są za „tryń-trawa“ (marne zielsko), a na pierwszy plan występują kwestye w istocie filozoficznej natury: „Po co żyjemy i co będzie z nami po śmierci?“ Tę ostatnią cechę ludu rosyjskiego doskonale podchwycił i uplastycznił w swoich gorzkich nowelach sympatyczny pisarz rosyjski, Czechow, należący do grupy „młodych“, nie bardzo obfitującej w prawdziwe talenty. Ta właściwie cecha sprawia, że dziś, gdy sekciarstwo na zachodzie odeszło już w daleką średniowieczną przeszłość, w niektórych okolicach Rosyi, na północy i na południu, władzom wypada wciąż jeszcze staczać z niemi uporczywe walki (por. nową sektę Tołstowców — duchoborców). Obie wspomniane cechy, dobroduszność i pewien nastrój filozoficzny, sprawiają, że prosty człowiek ruski umie godzić się niekiedy z nadzwyczajnym losem i nie łatwo podnosi na siebie rękę.

W sierpniu krzywa graficzna linia samobójstw, zaczyna skręcać w dół. W lipcu dosięga ona zawsze swojego kulminacyjnego punktu. Jeżeli zważyć, że ciepło lata pozwala ubogim przespiać się pod dachem z obłoków bez narażenia życia, a tylko z narażeniem się na upomnienia nocnych stróżów i dozorców policyjnych, to względna wysokość linii samobójstw w tym miesiącu staje się zagadką. Próbował mi wyjaśnić ją jeden z domorosłych statystyków w ten sposób, że latem okna są otwarte, a woda w kanałach nie zamarznięta; zwłaszcza uważał za słuszną pierwszą przyczynę i zwracał moją uwagę na częste w ostatnich czasach wypadki rzucania się z okien ludzi bez środków do życia, dotkniętych alkoholizmem mężczyzn i pijanych miłością kobiet. „Napisałem w tej kwestyi — powiadał ogromny artykuł, który zrobił szalone wrażenie na jednym z tutejszych redaktorów: nie zgodził się ze mną na żadnym punkcie... Chcecie, przeczytam go zaraz“. Nie chciałem, bo właśnie przechodziliśmy Newskim prospektem, obok restauracyi, gdzie tegoż dnia o godzinie 5 rano znalazł własnowolną śmierć na bruku brat szwajcara jadłodajni, robotnik, nie mogący dostać pracy.

Doprawdy, nie pojmuję, jak człowiek, nawet zrozpaczony ostatecznie, może decydować się na ten najstraszniejszy rodzaj śmierci. Godzę się, że można skoczyć do kanału Fontanki, bo jej wody umieją otwierać i zamykać się miękko, jak ramiona kobiety, w wypadku danego porównania dosyć brudnej. Rozumiem, że można zażyć trucizny, bo daje się ona zjeść z lodami ananasowemi, lub wypić w winie szampańskiem. Pojmuję, że można się nawet powiesić, gdyż jest to tylko „zbyt szczelne zaciśnięcie halsztuka“ i ma się potem satysfakcyę pokazania języka światu jeszcze po śmierci. Nie znajduję nic strasznego w posłaniu sobie kulki w serce, gdyż dokonywa się tego momentalnem kiwnięciem palca na kurku. Ale przeraża mnie myśl o możliwości dotknięcia głową twardych kamieni, o podróży na tamten świat z ryzykiem stracenia nóg zamiast duszy i dostania się w poczet kalek, zamiast do orszaku cieniów elizejskich. Brak środków do życia, brak pracy — muszą być czemś strasznem, skoro powierzchnia brukowana kamieniami zamienia się w oczach nieszczęśliwych na trawnik róż i lilii śmierci...

Samobójstwo zaczyna być hardem. Nie chce już ono kryć się w domach prywatnych, a nawet i w pokoikach hotelowych, ani w głębinach wód na krańcu miasta. Coraz częściej wychodzi na ulicę, wyzywając szyderczo tych, co pragną żyć. Niedawno ktoś pozbawił się życia w katedrze kolońskiej, której stuletnie ściany jęknęły zgrozą od nieznanego huku wystrzału. Ktoś inny otruł się niedawno w ogólnej sali jednej z tutejszych restauracyi. Niejednokrotnie fale rzeki w samym środku miasta wynoszą na grzbiecie swoim martwe ciało. A oto najświeższy wypadek, z dnia 10 przeszłego miesiąca:

Na skwerze Michajłowskim, w pobliżu ławki na której siedzi staruszek o srebrnych włosach i czyta gazetę, bawią się dzieci. Naraz któreś z nich wszczyna krzyk: „staruszek się zastrzelił!“ Na ławce leży starzec z odchyloną głową; ze skroni sznurkiem koralowym spływa krew, oczy zamknięte trupio, usta rozwarte, bez oddechu, twarz śmiertelnie blada. Obok na ziemi leży rewolwer i numer gazety, poplamiony krwią. W kieszeniach prócz kilku bezwartościowych papierów — płótno, nie mówiące nic o nazwisku, i tylko trochę o powodach samobójstwa. Reporter „Gazety Petersburskiej“ kilkakrotnie robi nacisk, że pismem, które czytał staruszek, była „Gazeta Petersburska“ z dnia 9 sierpnia r. b. Czy to reklama dla zwiększenia liczby abonentów, dosyć ryzykowna, czy też wyjaśnienie przyczyny samobójstwa? Słyszałem, że sentymentalni młodzieńcy zabijali się po przeczytaniu „Cierpień Werthera“, najwidoczniej nie zdążywszy przeczytać „Epigramatów“ Goethego. Słyszałem, że egzaltowane panienki truły się po przeczytaniu „Kreutzerowej sonaty“. Słyszałem, że jakiś ambitny młodzieniec zastrzelił się po odczytaniu „Hamleta“, znajdując, że „Szekspir zabrał mu wszystkie tematy“ i nie doczekał się... „nowego kierunku w poezyi“, poczętego przez Wł. Stankiewicza i nazwanego przezeń „ekwilibryzmem“ (!) Ale żeby ktoś się zabijał przy czytaniu gazety, słyszę po raz pierwszy. Przerzuciłem umyślnie numer „Gazety Petersburskiej“ z d. 9 sierpnia r. b. i znalazłem w nim same powszednie wypadki: „zagadkowa śmierć“, „zuchwała kradzież“, „wypadek na przystani“, „pożar“, „zamach samobójczy“ i t. d. Ach, prawda, jest tam jeszcze wiadomość o usiłowaniu samobójstwa przy pomocy noża fińskiego na ulicy z braku środków do życia — fakt, który mógł podziałać chyba jako suggestya.

Zaczyna gryźć mię robak zwątpienia... Bo i dla czegożby gazety, codzienne dostarczycielki ze wszystkich krańców świata denerwujących wiadomości o „powszednich wypadkach“, nie miały wstrząsnąć grozą swoją słabego serca i zniechęcić do życia?! „Powszednie wypadki!“ — przerażającą jest właśnie ta „powszedniaich tragiczność! Bodaj czy nie ma racyi Balzak, utrzymujący, „że nic nie może walczyć o geniusz z pływającą na wierzchu gazet wiadomostką, iż wczoraj o 10-tej wieczorem kobieta, pozbawiona środków do życia, skoczyła z mostu do Sekwany“. „Wypadki?“ — ale czyż owa monotonia jednorodnych wypadków nie dowodzi, że są one przejawami stale działających, nieubłaganych praw, bądź społecznych, bądź naturalnych?!

Długoletni współpracownik „Birż. Wied.“ p. Liniew (pseud. Dalin) powziął oryginalną myśl. Zebrał w jedną całość mnóstwo ciekawych wypadków, zaszłych w kraju w ciągu ostatnich lat i ocalił je przed zapomnieniem, na które skazane jest nieomal wszystko, co się drukuje w gazetach. Ogłosił owe wypadki w książce, noszącej tytuł: „Nie-bajki“ (Nieskazki). Fakty, podane przez p. Dalina, podzielone są umiejętnie na kilka zasadniczych grup, pod nazwami: „Żony prawne“, „Dzieci zbyteczne i bezbronne“, „Z kroniki wiejskiej“ i t. p., i w tem uszeregowaniu nie przedstawiają się bynajmniej jako przypadkowe bąbelki na ciele społecznem, za które mogli je wziąć w swoim czasie czytelnicy gazet, ale jako uparcie powtarzające się objawy groźnych chorób społecznych, wiecznie odnawiające się rozgałęzienia natury rakowatej. Pan Dalin z całą abnegacyą zrzekł się własnej swojej fantazyi na rzecz tej, którą posiada kapryśna rzeczywistość, i trzeba przyznać, że utworami swemi mogłaby walczyć o pierwszeństwo z najsensacyjniejszemi pomysłami romansopisarzy francuskich. Autor „Nie-bajek“, a raczej sumienny ich zbieracz, dodaje do każdego wypadku ze swojej strony rozumowe i uczuciowe oświetlenie, które dowodzi, że głęboko wziął on do serca cierpienia dzieci i kobiet i poważnie zastanawia się nad wyleczeniem ran społecznych. Jego prosty i szczery sentymentalizm, oraz zwyczajny dobroduszny rozsądek przynoszą mu zaszczyt w epoca, w której sceptycyzm, zobojętnienie, paradoks

i dowcip zapanowały nad wszystkiem. Odkrycie owych dodatnich cech u p. Dalina było dla mnie tem bardziej niespodziewaną przyjemnością, że spotykając go w towarzystwie przed przeczytaniem książki, pod gęstym rozczochranym włosem nie mogłem dojrzeć jego istoty. Obecnie wybaczam jego dziką czuprynę za kulturalny stosunek do różnego rodzaju dziczyzny, której winowajców karzą sądy, mniemając, że już wszystko zrobiły, a p. Dalin słusznie woła: „jakto? oni poszli do ciężkich robót... a my? a my? alboż my wcale nie winni? alboż dalej będziemy po tem wszystkiem szli żółwim krokiem na drodze do oświaty ludowej?“ okrzyk ten stosuje się do historyi złożenia ofiary ludzkiej na ołtarzu pogańskiego boga Kurbona w siole Staromultanach gub. wiackiej podczas tyfusu 1882 roku (por. opowiadanie: „Patagonia w Rosyi“). „To myśmy złożyli tę ofiarę“ — woła słusznie p. Dalin.

Daleko większą zgrozą przejmuje wszakże inne opowiadanie o „przypadkowem“ odkryciu w marcu r. 1894 męczennika-obłąkanego, przykutego przez 10 lat na łańcuchu na mocy rozporządzenia „sielskiego schodu“ we wsi Tiulgańskiej gminy Zagwoździńskiej, okręgu tobolskiego. Nieszczęśliwy, siedzący wiecznie z głową opartą na kolanach w dusznej i niskiej budzie, cały obrośnięty włosem, zapomniał mówić... Uwięziono go na łańcuchu bynajmniej nie przez okrucieństwo... tylko uboga włość nie miała środków na opłatę kosztów utrzymania obłąkańca w szpitalu...

W książce p. Dalin przesuwa się szereg schwyconych z natury (pomiędzy innemi w sali sądowej) typów żon, męczonych przez mężów, dzieci przez matki i t. d. W tej galeryi portretów uderza jedna z żon-chłopek, która po kilkoletniem znoszeniu najcięższych razów, pokryta ranami, zdobyła się na wniesienie do sądu prośby, aby „mąż mniej bił“. Nie brak w tej galeryi i dziewczynek, które są ofiarami kochanków matek, za łaskawem ich pośrednictwem. Mnóstwo dzieci, całe lata obijanych z wściekłością przez matki i macochy, zanim sąsiedzka litość wprowadzi sprawę na tor sądowy, dowodzi nie mniejszej cierpliwości sąsiadów, niż tych bezbronnych drobnych stworzeń, nad których dolą tak mocno biadał Dostojewski. Zajmujące są typy tych matek, które pan Dalin doradza nazywać raczej „rodzicielkami“. Porzuciwszy dzieci w kołysce i powędrowawszy w świat z kochankami, po szeregu lat zupełnej niepamięci, gdy dziecię ich wyrośnie już i wychowa się, a otrzyma po zmarłym ojcu spory spadek, domagają się one naraz, w imię „praw macierzyńskich“, przyznania im opieki nad dzieckiem. Szczęściem sądy coraz rzadziej uwzględniają prośby takich „matek“, czyhających na majątek dzieci. Coraz rzadziej także wysłuchiwane są żądania mężów, domagających się sprowadzenia do ich domu przez policyę żon, które uciekły przed tyranią, jakkolwiek odnośne artykuły prawa przemawiają dotąd na korzyść panów małżonków. Niepojętą jest cierpliwość jednej z przedstawionych przez pana Dalin żon, która co dzień po parę godzin nieruchomie klęczała w kącie na rozkaz męża, rzucającego kluczykami żelaznemi w głowę, aż nareszcie odciął ją toporem. Dziwną jest lękliwość innej, która skarżąc się przed sędzią pokoju, że mąż nie wydaje jej oddzielnego świadectwa na życie, zapytywała: a co będzie, gdy zabije? — na co sędzia odrzekł jej przekonywająco: będą sądzili! Niezmiernie ciekawym jest wypadek zabójstwa męża przez żonę na ulicy w Moskwie. Powodem nie była ani miłość, ani nienawiść, gdyż małżonkowie rozeszli się za obopólną zgodą w parę dni po ślubie, cicho, bez skandalu. Przyczyną morderstwa był... pasport. Kobieta zapragnęła zapracować samodzielnie na swoje życie, ale wszędzie żądano pasportu. Mąż nie chciał go dać nie przez niechęć, ale tak sobie... Po roku błądzenia z kąta w kąt, wypędzana zewsząd dla braku dokumentu, spotkała na ulicy tego człowieka, który w jednej nieopatrznej chwili zdobył nad nią prawo na całe życie i zażądała pasportu z rewolwerem w ręku. Małżonek się zaśmiał i — za chwilę padł nieżywy...

Jak widzi czytelnik, książka p. Dalina zawiera dużo dokumentów, wiele dowodów wieczystego okrucieństwa ludzi, nawet w obecnej „czułej“ epoce, wiele świadectw tej straszliwej „władzy mroków“, którą tak wymownie skreślił Tołstoj w swoim dramacie.

Leo Belmont.

NA WYŁOMIE.

(Cieszyn. — Podstęp niemiecki. — Otucha. — Festyny sedańskie. — Kościół a narodowość.)

Gdybym mógł złączyć wszystkie dzwony polskie w jednego olbrzyma z metalu, uderzyłbym w niego dzisiaj i rozniósł na skrzydłach tonów tryumf Cieszyna. Gdybym mógł uwić wieniec olbrzymi z pszenicznych kłosów, modraków błękitnych, tatrzańskich szarotek i róż płomienistych opasałbym niemi jak wstęgą tę nową twierdzę ducha polskiego, która powstaje w murach Cieszyna. I gdybym mógł czarodziejskim zaklęciem powołać cały naród do świętej pielgrzymki, wiódłbym go w bramy nowej świątyni narodowej, a w kolumny mrowiska polskiego... w kolumny wrogów leciałby jak burza głos niewolników: „I jakąż dumą drży moja warga, że w tych płomieniach nie ginę“.

Dzień święta zbliża się dla nas. Tam gdzie od wieków starano się egzystencyą ludu polskiego i polskie serce zniweczyć, wyrasta z ziemi polskie gimnazyum, polskie ognisko języka i myśli narodowej. A tłumy wrogów patrzą zdziwione w błyszczące okna tej szkoły i powtarzają słowa pewnego kapitana floty, szturmującego napróżno okopy nieprzyjacielskie: „Nie pojmuję, co za ludzi oni mają. Cała wyspa stoi w płomieniach, wszystkie forty zamieniłem w gruzy, a jednak nie zdołałem wyprzeć wroga z jego stanowisk. Gdy zburzę jeden szaniec, on przez noc drugi usypie“.

A tem większą dumą wzbiera dusza narodu, że w tej walce zwycięzkiej, toczącej się między repolonizacyą zniemczonych dzielnic a żelaznemi kleszczami germanizmu lud polski napróżno wyciągał ręce do Wiednia, do swoich wybrańców i przedstawicieli w parlamencie. Lud błagał a oni milczeli, lud wołał o pomoc a oni dyplomatycznym uśmiechem na twarzy maskowali ambaras, gdy z austryackiej łupiny jądro polskie wychylić się miało. I odbywała się ta walka bez ciężkiej artyleryi Koła polskiego. Niemcy stawali do boju z puklerzem opieki rządowej, z podziemnemi minami swoich reprezentantów wiedeńskich, — my walczyliśmy sami, siłą zbiorowego patryotyzmu, szlachetnem bohaterstwem jednostek, którym nikt nie dał mandatu u r z ę d o w e j obrony szańców narodowych. I oto coraz rozgłośniej na szląskiej ziemi brzmi hejnał tryumfu: Polskie gimnazyum zdobyte, polski sztandar zatknięty na murach Cieszyna! Chciałoby się rozśpiewać tę drugą Jenę i Austerlitz po najdalszych zakątkach ziemi Piastowskiej, bo większa ona niż ta, którą stworzył geniusz Napoleoński, bo nie jest arcydziełem mistrza-strategika i Janczarskiej odwagi wprawnych batalionów, lecz czynem zbiorowego patryotyzmu i niezmordowanej energii ludu polskiego, bo nie kąpie się ona w krwi, ruinach i zgliszczach, lecz jest pokojowem zwycięztwem w zapasach ducha narodowego, bo nie wieńczy wawrzynem zaborcy, lecz laurem stroi lud walczący o prawa swoje zdeptane.

I zdaje mi się, że to Austerlitz niemieckie nie będzie miało swego Waterloo i swego Sedanu; w tej samej chwili bowiem gdy wróg rozpoczął nowy szturm do polskiej fortecy i kopie miny pod ziemią, — składa polski patryotyzm coraz liczniejsze dowody czujności i energii swojej. Uchwaliła rada miejska Cieszyna obfite stypendya dla niemieckiego gimnazyum i drwiąc spoglądała na polską szkołę w nadziei, że ją w pustkowie zamieni. „Synowie ubogiego ludu polskiego pójdą tam, gdzie bezpłatnie wolno im czerpać z krynicy wiedzy, a biedne polskie gimnazyum świecić będzie próżnemi ławkami“, — tak mówiła dyplomacya niemiecka. Serce narodu jednak pocisku tego się nie lęka. Ono zbudowało gimnazyum, ono ułatwi i najbiedniejszej młodzieży przystęp do niego. Dziś już wre na galicyjskiej ziemi gorączkowa agitacya, by za niemieckim przykładem polską twierdzę w Cieszynie stypendyami uzbroić; dziś już roznoszą dzienniki wiadomość, że korporacye i jednostki tworzą dobroczynne fundacye, by niemi jak fortecznym wałem ognisko życia narodowego otoczyć. A chociaż słychać gdzieniegdzie głosy zwątpienia, że zgaśnie ten entuzyazm jak słomiany ogień, że chwilowe upojenie, chwilowa ekstaza narodowa otwiera wprawdzie upusty polskiej ofiarności, lecz nie dziś to jutro minie szał płomienny i nowe gimnazyum wieść będzie żywot suchotniczy, to puszczykowe wołania chmurą nie przesłaniają mi oczu. Wierzę w niespożytą siłę odrodzonego ludu szląskiego, wierzę, że gwardye narodu to ukochane dziecię cieszyńskie, tego pierworodnego syna, wzrastającego na ziemi budzącej się do nowego życia, karmić będą mlekiem dumnej i szczęśliwej matki. Przecież ten gmach szkólny zbudowany wśród fal niemieckiego potopu to nietylko Westalka myśli narodu, nietylko tarcz przeciw wrogom, lecz jakaś wielka otucha, żeśmy jeszcze tak nie skarłowacieli, i nie tak bez duszy, aby z rąk spętanych nie wykrzesać — czynu. Tak! Gimnazyum cieszyńskie to c z y n! Jest w tem słowie jakiś urok tajemniczy, jakiś prąd elektryczny, budzący ducha, hartujący wolę. Własnemi siłami zbudowaliśmy szaniec ojczyźnie i oto poczuliśmy się nietylko narodem, lecz organizmem twórczym, zdolnym do pracy, do zwycięztwa, do czynu!

A taka otucha, taki przypływ wiary i energii potrzebne nam dzisiaj więcej niż kiedykolwiek, — potrzebne mianowicie tu na ziemi wielkopolskiej, gdzie lęk, abdykacya i bezduszny kwietyzm idą po łanach ojczystych. Niesmak graniczący z wstrętem syczy mi w duszy, gdy wsłuchuję się uważnie w echa festynów sedańskich, płynące ku nam z prowincyi, gdy mi bezustannie wołają nad uchem dzienniki, że polskie cechy, polskie towarzystwa i całe szeregi obywateli huczały okrzykiem radosnym, powiewały chorągwiami i w lśniących płomieniach świec i lampionów kąpały okna swoje na jubileuszu pruskiego zwycięztwa. A wstręt mój i gniew rośnie bez końca, gdy na ulicach i w cukierniach spotyka się ludzi, którzy z uśmiechem fałszywej tolerancyi deklamują o względach i względzikach na burmistrzów, komisarzy i landratów, prawią o liczeniu się kupców i przemysłowców z niemieckimi odbiorcami, o ewentualnościach prześladowań rządowych i t. p. Ten strach, grasujący przeważnie po małych miasteczkach, cechuje doskonale nietylko naszą atmosferę przygnębienia, naszą elastyczność i nasze uśpienie, lecz i ten fatalny wpływ jednostronnych i wykrzywionych haseł pracy organicznej, szerzących kult fanatyczny dla złotego cielca i piętnujących mianem fabrykantów frazesu tych wszystkich, którzy rozniecić pragną płomienie dumy narodowej i wśród wszystkich dążeń i namiętności ludzkich ojczyźnie pierwsze zapewnić miejsce. Kupiec zapalający świeczkę sedańską jako przynętę dla niemieckich odbiorców, mieszczanin śpiewający „Die Wacht am Rhein“ dla zdobycia uścisku komisarskiej ręki, to znaki czasu i Baltazarowa przestroga.

— Lecz — mówią oni — Kościół nas powiódł na sedańskie gody. W świątyniach polskich brzmiało „Te Deum“ i kapłani z ambon głosili w zachwycie tryumf niemieckiego oręża. — Prawda! I znowu dźwięczą nam w uszach słowa organu duchowieństwa, że „na sprawy narodowe patrzeć należy jedynie przez pryzmat katolicki“, i znowu budzi się protest przeciw komendzie kościoła w życiu narodowem. Tej sprawie poświęcił „Orędownik“ znakomity artykuł w numerze piątkowym, a słowa jego, że trzeba zrobić rozdział stanowczy między Kościołem a ojczyzną, bo interesa ich posiadają nieraz rozbieżne dążenia, pragnąłbym złotemi literami wyryć na wszystkich rynkach i ulicach. Być może, że przeklną mnie za to znowu i ukamienują, — dobrze! lecz zanim uderzą, przypomnę im słowa jednego z publicystów warszawskich: „Między spalonymi na stosie

więcej było może przyjaciół Kościoła niż wrogów, ale tem grzeszyli, że jak Savonarola czuli i działali na własny rachunek".

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Czytelnie publiczne w Rosyi. „Now. Wrem." użala się, że w Rosyi daje się zbyt małe baczenie na rozwój czytelnictwa. Dość powiedzieć, że ilość bibliotek jest tu dwa razy mniejszą, niż ilość księgarń. Wszakże dobór książek i w istniejących już czytelniach pozostawia wiele do życzenia. P. Rubakin, który napisał gruntowne dziełko „o rosyjskiej czytającej publiczności", wytyka społeczeństwu słaby pociąg do czytania. Dowodzą tego cyfry: na 100 osób, należących do t. zw. uprzywilejowanej klasy, abonuje książki w bibliotece; w Jekaterynosławiu — około 6, w Chersoniu — 5, w Niżnim-Nowgorodzie — 10 itp. Wypada np., że w siedmiotysięcznym Astrachaniu z książek korzystało zaledwie 200 osób i to nie w ciągu całego roku. Najwięcej, najlepiej i z najumiejętniejszym doborem czytuje klasa uczących się. P. Rubakin, zwracając uwagę na ten fakt, wyraża żal, że władze szkolne niektórych gimnazyów wzbraniają wychowańcom abonować się w czytelniach. Odbija się też to na błahości treści ćwiczeń szkolnych. Jak garnie się młodzież do czytania tam, gdzie podobny zakaz nie istnieje, poucza wymowna cyfra: w petersburskich czytelniach bezpłatnych małoletni stanowią 62,5 proc. czytających. Z dziełka p. Rubakina wynotować należy następujące ciekawe fakty: trzecia część, a w niektórych miejscowościach aż połowa żądań odnosiła się do przekładów książek cudzoziemskich; najpoczytniejszym śród autorów, pisujących w obcych językach, jest Sienkiewicz; z pisarzy rosyjskich niezaprzeczenie najbardziej popularnym jest Lew Tołstoj. O faktach powyższych poucza dołączona do dziełka p. Rubakina sumiennie opracowana tablica statystyczna ilości wypożyczeń dzieł wszystkich autorów.

* * *

Fryderyk Nietzsche. Berliński korespondent „Kraju" podaje następujące szczegóły o życiu, literackiej spuściznie i wpływach „wielkiego immoralisty" Nietzschego:

„Filozof ten, propagator siły, był dumny ze swego pochodzenia polskiego i przybranej niemieckiej ojczyźnie szczerą okazywał pogardę. Szeregi wyznawców jego idei rosną z dniem każdym, literatura o nim liczy setki tomów; na uniwersytecie tutejszym rozpocznie z półroczem zimowem prof. Runze wykłady o jego filozofii i etyce. Sam Nietzsche, który niedawno ukończył 50 rok życia, przebywa jako nieuleczalnie chory na rozmiękczenie mózgu, u matki, wdowy po pastorze w Naumburgu i powoli dogorywa. Przejmującym ma być widok tej postaci, która także na tutejszej wystawie międzynarodowej sztuk pięknych, z portretu przemawia strasznym tragizmem. Zbiorowem wydaniem jego pism zajmuje się siostra, pani Foerster, która założyła archiwum Nietzsche'go, teraz przygotowuje już jego „Pisma pośmiertne" i w tych dniach wydała pierwszy tom jego biografii. Przedstawiony tam pochód jego życia do roku 1869, to jest do objęcia katedry uniwersyteckiej; sama praca, pisana po gawędziarsku, bardzo familijnie, zawiera sporo listów i dokumentów, rzucających ciekawe światło na psychologię jednej z najwybitniejszych indywidualności naszego czasu.

Ale i fantazyę poetów zajmuje Nietzsche; świeżo stał się bohaterem powieści Adolfa Wilbrandta, wydanej u Cotty w Stuttgarcie p. t. "Die Osterinsel". Bohater posiada sporo rysów z życia nieszczęsnego filozofa i daje dosyć ciekawy obraz jego teoryi. Dla ich urzeczywistnienia, to jest celem przeobrażenia współczesnego nam "człeka-małpy" w „nadczłowieka", w półboga, chce bohater, dr. Adler, zakupić lub zdobyć wyspę na oceanie Spokojnym i tam, w odosobnieniu od niwelacyjnego i ogłupiającego wpływu Niemiec, wśród wspaniałej natury, wielkich myśli i potężnej pracy, odpowiadając warunkom doboru, rozwinąć pokolenie bohaterów. Nie zdołał jednakże zamiaru dokonać; mózg ludzki za słaby, aby tak nowy skonstruować świat, nerwy za słabe, aby przenieść walkę z otoczeniem i konfliktami realnego życia. Bohater kończy — tak, jak Nietzsche".

* * *

Zamknięty przez cenzurę warszawską tygodnik polityczno-literacki „Głos" zaczyna znów wychodzić z dniem 1 października na dawnych warunkach. Sympatycznemu pismu życzymy z całego serca powodzenia.

* * *

Moralność wiejska. W niedawno wydanej książce p. t. „Sittlichkeit auf dem Lande" wykazuje pastor C. Wagner, iż życie obyczajowe na wsi niemieckiej znajduje się w coraz gorszym rozkładzie. Wzmagająca się nędza nie pozwala na zakładanie rodzin, zamyka mnóstwo osób w jednej izdebce, zmusza do szukania najprzewrotniejszych sposobów, któreby doprowadziły — jak we Francyi — do systemu dwojga dzieci. Dane, które autor przytacza, spostrzeżenia duchownych, cyfry urzędowe, rzucają iście straszne światło na formy, w jakie przechodzi współczesna rodzina niemiecka.

* * *

Słownik polski. Wyszedł w tych dniach w Warszawie arkusz próbny „Słownika języka polskiego", ułożonego pod redakcyą pp. Karłowicza, Kryńskiego, Niedźwiedzkiego i J. Przyborowskiego. Sądząc z przedmowy i arkusza próbnego, spodziewać się należy, iż słownik będzię. w całem tego słowa znaczeniu, dziełem poważnem i pożytecznem. Materyał, opracowany starannie i o wiele bogatszy niż w słownikach poprzednich, wypełni cztery duże tomy.

KRONIKA POWSZECHNA.

* Nowa część świata. Ktoby się mógł spodziewać, że frazesu „odkryć Amerykę" wypadnie nam użyć nie w przenośnem, lecz dosłownem znaczeniu? Ktoby przypuszczał, że usłyszymy Kolumba, dzielącego się wiadomością o odkryciu nowego, nieznanego lądu, nowej zupełnie części świata, dwakroć większej od Europy! A przecież to samo, co się zdarzyło przed 400 laty, gdy wielki Genueńczyk obwieścił fakt odkrycia ziemi w kraju zachodzącego słońca, ziemi, położonej gdzieś na krańcu świata i obfitującej w złoto i inne bogactwa naturalne — to samo dzieje się teraz! „Odkrycia Ameryki" — o ile się to tylko naprawdę stało — dokonał teraz Norweg Borggrewing, który zakomunikował wiadomość o swem odkryciu na posiedzeniu międzynarodowego kongresu geograficznego w Londynie. Wiadomo, że sławę odkrycia Ameryki usiłowali odebrać Kolumbowi Norwegowie, dowodząc, że już przed Kolumbem przybyli do lądu stałego Ameryki północnej odważni Wikingowie. Tym razem może chwała odkrycia szóstej części świata dostanie się istotnie Norwegom, o ile tylko ląd przez nich odkryty nie okaże się jednym z tych lodowych „lądów" południowych, jakich odkrywano już mnóstwo w stuleciu bieżącem.

Na posiedzeniu międzynarodowego kongresu geograficznego oznajmił Borggrewing, że odkrył nowy południowo-biegunowy ląd stały, który zajmuje obszar dwa razy większy od Europy i obfituje w roślinność i bogactwa mineralne, dla eksploatacyi zupełnie dostępne: znajdują się też na tym lądzie olbrzymie zapasy guana. Borggrewing pragnie w lecie roku przyszłego stanąć na czele ekspedycyi do nowych lądów i pozostać tam przez zimę. Obiega pogłoska, że lord Salisbury zamierza dostarczyć funduszów na koszta wyprawy, a to w tym celu, aby Wielka Brytania mogła wejść w posiadanie nowego lądu. Opowieść Norwega o wszystkich tych skarbach obudziła wrodzony Brytańczykom zaborczy apetyt, to też lord Salisbury zamierza wydać z rządowej kasy brytańskiej fundusze, niezbędne do wyekwipowania na wiosnę wyprawy, na której czele stanie Norweg Borggrewing, i której polecone będzie zatknięcie sztandaru brytańskiego na lądzie szóstej części świata.

* * *

* **Wiadomości społeczne i polityczne** Socyalistyczne czasopismo „Vorwärts" ogłosiło szereg ciekawych dokumentów, kompromitujących stronnictwo konserwatywne i wybitne osobistości dyplomatyczne. — Katolicka „Schles. Volkszeitung' wystąpiła nader ostro przeciw kandydatom ludu polskiego na Szląsku i wzywa całą prasę centrową, aby walczyła energicznie z „polskiemi uroszczeniami" i „polską agitacyą", której sztab, zdaniem jej, znajduje się w Poznaniu. (?!) — „Schles. Zeitung" radzi rządowi pozostawić zupełną swobodę policyi w szykanowaniu socyalistów a mianowicie ich przywódzców. — Śledztwo w sprawie morderstwa, popełnionego na Stambułowie, nie postępuje wcale. Zdaje się, że władze bułgarskie chcą tendencyjnie sprawę zabagnić i w tym celu pozwoliły umknąć z więzienia jedynemu zbrodniarzowi, którego ująć zdołano.

* **Teatr i muzyka.** Dawni artyści trupy poznańskiej, p. Wróblewska i p. Sosnowski, odwiedzili Poznań, aby uporządkować sprawy prywatne i za dni kilka przenieść się na stały pobyt do Łodzi. Dyrekcya wytęża wszystkie siły, aby zataić rzeczywiste powody ustąpienia pierwszorzędnych sił z teatru naszego i jako jedyny motyw przytacza wygórowane pretensye materyalne artystów. Wobec tego oświadczamy, że w dymisyi p. Rapackiego i panny Zimajer gaża nie odgrywała żadnej roli, że artyści ci prosili o przyjęcie, lecz odpowiedziano im krótko, że zgłoszenia ich nadeszły zapóźno. A było to w początkach lipca! Podobnie i prośba p. Wróblewskiej oraz p. Sosnowskiego o podwyższenie pensyi były więcej jak skromne. Rzeczywistym powodem rozbicia jest w pierwszym rzędzie fakt, że dyrekcya uzurpuje sobie prawo komendy w letnich miesiącach, t. j. wtedy, gdy kontrakty zawarte już się ukończyły i artyści na własną rękę o chleb się starają. Dyrekcya pragnie zmusić wszystkich członków trupy poznańskiej do występowania na prowincyi, chociaż z końcem zimowego sezonu kończy się kontrakt, kończy się przynależność artystów do teatru naszego, kończy się panowanie dyrekcyi i każdy aktor staje się panem własnej woli. Wielu artystów chciałoby korzystać z letnich miesięcy, aby przez gościnne występy dać się poznać publiczności łódzkiej, warszawskiej, krakowskiej lub lwowskiej, — kto jednak wzbrania się jechać na prowincyę, ściąga na siebie gniew i szykany teatralnych kacyków. Tak i dziś się stało i to jest główny powód dymisyi — w kilku przynajmniej wypadkach. Drugim motywem jest tenor nowych kontraktów, zawierających mnóstwo przepisów, krępujących, elastycznych i nakładających niezwykłe ofiary artystom. — Pierwotny plan rozpoczęcia sezonu w teatrze poznańskim przedstawieniem „Mazepy" nie przyjdzie do skutku W miejsce dramatu Słowackiego ujrzymy „Grube ryby" Bałuckiego. — P. Siennicka powróciła z Warszawy na krakowską scenę. — Teatr krakowski rozpoczął swój sezon zimowy komedyą Bogusławskiego p. t. „Modne spazmy". Po przedstawieniach operowych jednak, urządzanych w letnich miesiącach, mało znęciło publiczności „słowo nieśpiewane". Potwierdziło się zatem zdanie jednego z krytyków warszawskich, że opera jest wrogiem dramatu i komedyi.

Zmarli:

* **Ludwik Tobler**, profesor filozofii przy uniwersytecie w Zurychu, zm. w końcu ubiegłego miesiąca.

* **Spartaco Vela**, wybitny malarz włoski, zm. w Ligornetto w końcu z. m.

Odpowiedzi Redakcyi.

St. A. w Wągrówcu. Jeżeli dostarczenie świadectwa nie było warunkiem, postawionym ze strony dyrekcyi, lecz gwarancyą, obiecaną przez Pana samego, — kwestya ta w pierwszym liście była niejasno określoną — to postaramy się w drodze interpelacyi na walnem zebraniu zbadać przyczyny, kierujące postępowaniem zarządu.

A. R. Jest to naśladowanie Kasprowicza, miejscami nadto niewolnicze, miejscami jednak zdradzające przebłyski talentu. Prosimy o więcej próbek.

Pr 1) Cierpliwości! Musimy wprzódy zasięgnąć informacyi. 2) Dzieło Tarnowskiego o Krasińskim jest zupełnie wyczerpane.

Mal. K. Zgadzamy się z szanowną Panią, że talent Kosiakiewicza i Rodziewiczówny rozwadnia się i blednie, ale życzenia Pani, aby poświęcić artykuł zanikaniu talentów naszych powieściowych na razie spełnić nie możemy; zachowamy sobie jednak ten temat w pamięci.

Iskra. Tak, pani, ale krytyk ten należy do owych pisarzy, którzy oparci na pewnych dogmacikach literackich, każde uchylenie od nich uważają za brak lub niedojrzałość talentu.

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Kazimierz Hojnacki z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.